



Wydawnictwo
Harlequin



Harlequin®

Światowe Życie® Duo

Sabrina Philips *Kaprys milionera*
Anne Mather *Podróż do Rio*



Światowe
Życie Duo

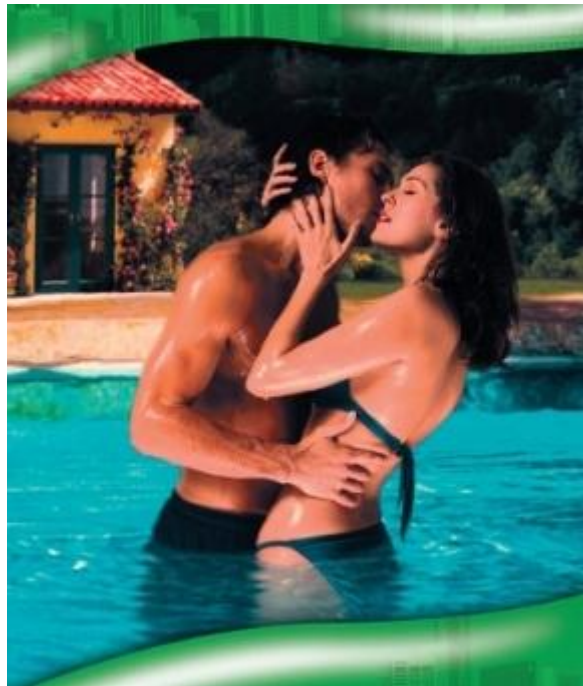
24

Sabrina Philips *Kaprys milionera*

Anne Mather *Podróż do Rio*



Sabrina Philips



Kaprys milionera

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na tę chwilę czekała od lat. Wreszcie była u celu - nadszedł wieczór, który miał zamienić jej marzenia w rzeczywistość, wynagrodzić wszystkie poświęcenia. Cally zaciśnęła powieki i skoncentrowała się na równym, głębokim oddechu, podczas gdy licytujący prześcigali się w ofertach, deklarując gotowość zapłacenia astronomicznych kwot za mało znany, ale wyjątkowo piękny obraz Moneta.

To nie był jej świat. Mimo że jako konserwator obrazów ze sztuką obcowała na co dzień, czuła się co najmniej dziwnie w towarzystwie ludzi, którzy mieli na sobie stroje warte więcej pieniędzy, niż ona była w stanie zarobić przez rok, i pozornie bez zastanowienia wymieniali sumy, jakich nie potrafiła sobie nawet wyobrazić. Tutaj, w najsłynniejszym londyńskim domu aukcyjnym, gdzie sztuka przestawała być ponadczasowym nośnikiem piękna, by stać się lokatą kapitału i trofeum służącym podkreśleniu statusu właściciela, Cally miała wrażenie, że się dusi. Jej miejsce było w zaciszu pracowni, z dala od blichtru tego świata. Tam nie musiała kombinować, jak ze swojej skromnej garderoby wyczarować strój, który pozwoli jej wtopić się w tłum bogaczy. Po prostu wkładała luźne, poplamione farbą ogrodniczką, podwijając rękawy flanelowej koszuli i zagłębiała się w intymnym dialogu z dziełem sztuki, by przywrócić mu piękno, które powoli zacieślał nieubłagany czas.

Palcami zeszywniałymi z napięcia wygładziła spódnicę. Nie lubiła tłumu ani gry pozorów. To dlatego była tak bardzo stremowana. Tylko dlatego. Fakt, że w sali znajdował się on, nie miał absolutnie nic do rzeczy... A jednak jej wzrok, zupełnie bez udziału woli, znów powędrował ku mężczyźnie siedzącemu w tylnym rzędzie po drugiej stronie sali. Odnalazła oczami zarys jego kształtnej głowy, uniesionej z wrodzoną, swobodną godnością, i sylwetkę o szerokich ramionach. Poczowała, że na sam jego widok gdzieś w jej wnętrzu wybuchają fajerwerki podekscytowania.

Niedorzeczność. Przecież ten człowiek był jej zupełnie obcy. Co prawda, spotkała go już raz, ale nie mogła powiedzieć, że go zna. Podczas przedaukcyjnego pokazu obrazów stanął obok niej, kiedy podziwiała dyptyk Rénarda - dzieło, z powodu którego przyjechała do Londynu. Nie zamienili wtedy ani słowa, i nic dziwnego, bo na pierwszy rzut

oka było widać, że nieznajomy gra w zupełnie innej lidze niż ona. Idealnie skrojony garnitur i szwajcarski zegarek na grubej, srebrnej bransolecie w dyskretny, lecz jednoznaczny sposób świadczyły o tym, że jest nieprzyzwoicie bogaty. To powinno wystarczyć, by Cally go skreśliła, lecz ona nadal, wbrew sobie, popatrywała na niego spod rzęs. Był niewiarygodnie wręcz przystojny - lekko falujące czarne włosy, zaczesane do tyłu, odsłaniały szczupłą twarz o regularnych rysach i wysokim czole. Pod śmiało zarysowanymi łukami brwi lśniły głęboko osadzone oczy o egzotycznym kształcie i zaskakująco intensywnej, morskiej barwie. Zmysłowo wykrojone usta krzywił w grymasie wyrażającym zadumę. Boski Brunet zdawał się być całkowicie zatopiony w kontemplacji obrazów. Mogła dać głowę, że w ogóle jej nie zauważył. I nic dziwnego. Pojawił się na aukcji, która gromadziła możnych tego świata, i zachowywał się z niewymuszoną swobodą człowieka nawykłego do przywilejów i zbytku. Na pewno nosił jakiś śmieszny tytuł, barona albo może hrabiego, i był tutaj po to, żeby ulokować fortunę w dziełach sztuki - obojętnie jakich, byle były kosztowne. Taki mężczyzna nie zauważał kobiet jej pokroju - ciężko pracujących przedstawicielek klasy średniej.

- Panie i panowie, przed nami ostatni, pięćdziesiąty eksponat. To wyjątkowe, niezwykle cenne dzieło, ukoronowanie naszej aukcji. Mam zaszczyt zaprezentować państwu *Mon amour par la mer*, dyptyk pędzla dziewiętnastowiecznego mistrza Jacques'a Rénarda. Obraz należał do zmarłego Hektora Wolsleya. Chociaż płótno wymaga specjalistycznych zabiegów konserwatorskich, jednak czas nie był w stanie zatrzeć niepowtarzalnej siły wyrazu i czystego piękna, jakim promieniuje to najslawniejsze dzieło Rénarda.

Cally gwałtownie zaczerpnęła powietrza, gdy ruchomy panel za plecami prowadzącego aukcję obrócił się majestatycznie i punktowy reflektor oświetlił obraz, który odmienił jej życie. Dzień, w którym po raz pierwszy zobaczyła reprodukcję *Miłości ku morzu* Rénarda pamiętała tak dobrze, jakby to było wczoraj. W liceum, na zajęciach z historii sztuki, nauczycielka pokazała klasie ten obraz. Mówiła, że Rénard był prekursorem impresjonizmu i oryginalnego, lekko onirycznego realizmu. Cally nie znała się jeszcze na stylach w malarstwie, ale zrozumiała od razu, że francuski artysta był po prostu geniuszem. Na widok *Miłości ku morzu* klasa zaniósł się nerwowym chichotem, ponie-

waż przedstawiona na obrazie dama w pierwszym skrzydle dyptyku nosiła elegancki strój, w drugim zaś była zupełnie naga. Cally nie śmiała się. Zauważyła żarliwą tęsknotę w oczach zapatrzonej na ocean kobiety i spontaniczność gestu, jakim unosiła dłonie do zapięcia sukni, której sztywny kołnierz zdawał się więzić jej delikatną szyję niczym dyby. Drugi wizerunek przedstawiał tę samą kobietę, jednak zupełnie odmienioną. Zniknął kapelusik, pod którym ukrywała ciasno spięte włosy - teraz spływały one ciemnozieloną rzeką na jej białe plecy. Długa do kostek suknia z epoki, zdobiona setkami kokardek, haftek i falbanek, która zdawała się przytłaczać swoją właścicielkę na pierwszym wizerunku, leżała porzucona na piasku. Naga i wolna, z dumnie uniesioną głową, kobieta szła śmiało na spotkanie fal. Jej jasne ciało lśniło na tle tajemniczego, ciemnego bezkresu morza. W niemym zachwycie Cally chłoneła nastrój, jakim przesiąknięty był obraz. Czuła, jak udziela jej się tęsknota za wolnością. Tak jak kobieta z obrazu, pragnęła odrzucić to, co płytkie, oczywiste i ograniczające, i odważnie wyruszyć na spotkanie z prawdziwym życiem, tajemniczym, pięknym i groźnym niczym ocean. Tamtego dnia, patrząc na reprodukcję *Miłości ku morzu*, czternastoletnia Cally zrozumiała, że jej przyszłością jest sztuka.

Przecucie okazało się trafne. Niebawem odkryła w sobie prawdziwy talent plastyczny, a także dociekliwość, dokładność i benedyktyńską cierpliwość - zadatki na dobrego konserwatora malarstwa. Dyptyk Rénarda stał się jej talizmanem. Zawsze, kiedy ogarniało ją zniechęcenie, patrzyła na reprodukcję, którą powiesiła nad biurkiem w swoim pokoju. Marzyła o tym, żeby zobaczyć *Miłość ku morzu* w oryginale. Niestety, nie było to możliwe, ponieważ najpiękniejszy obraz Rénarda ozdabiał gabinet pewnego arystokraty, zgorzkniałego odludka, który wolał wędzić arcydzieło w dymie cygar, niż dopuścić, by jego własność została wystawiona w muzeum, ku uciesze pospólstwa.

Minęło ładnych parę lat, ale tęsknota Cally za *Miłością ku morzu* nie malała. Z bólem serca myślała o tym, że obraz niszczeje. Dałaby wszystko, żeby móc nad nim pracować. Usunęłyby zanieczyszczenia, wydobyła piękno, które w nim przeczuwała. Realna szansa zbliżenia się do obrazu pojawiła się nagle. Po śmierci starego Wolsleya płótno Rénarda przeszło w ręce jego syna, utracjusza, który z wielę mówiącą regularnością pojawiał się w kasynach i na wyścigach. Szybko wyszło na jaw, że Wolsley junior jest za-

dłużony po uszy i wyprzedaje majątek ojca, żeby spłacić wierzycieli. Gdy tylko dom aukcyjny Crawforda zapowiedział wystawienie *Miłości ku morzu* na aukcji, London City Gallery zaczęła gorączkowo starać się o fundusze, które pozwoliłyby wykupić arcydzieło i uczynić z niego perłę muzealnej ekspozycji. W środowisku konserwatorów malarstwa zawrzało, bo rozeszła się wieść, że muzeum poszukuje specjalisty, który niezwłocznie po zakupie przystąpi do renowacji obrazu. Podobnie jak dziesiątki kolegów po fachu, Cally wysłała swoje CV na adres London City Gallery. Mogła tylko mieć nadzieję, że studia ukończone z wyróżnieniem i doktorat z konserwacji dziewiętnastowiecznego francuskiego malarstwa ze szczególnym uwzględnieniem dzieł Rénarda, sprawią, że jej kandydatura zostanie zauważona.

Kiedy się dowiedziała, że na konserwatora *Miłości ku morzu* wybrano właśnie ją, odrzucając podania o wiele bardziej doświadczonych kolegów po fachu, poczuła się tak, jakby wygrała dziesięć milionów w totolotka. Wir euforii upoił ją, zamroczył. W następnej chwili wstrząsnął nią lodowaty dreszcz niedowierzania. Może miała halucynacje? Zwidy? Może jej psychika nie wytrzymała napięcia i wycofała się w świat iluzji? Wyczerpana huśtawką nastrojów, wciąż nie do końca pewna, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też śni właśnie wyjątkowo piękny sen, wskoczyła w pociąg do Londynu. Musiała na własne oczy zobaczyć, jak *Miłość ku morzu* staje się własnością London City Gallery. Uwierzy dopiero, gdy będzie mogła dotknąć swojego marzenia.

Teraz od tej chwili dzieliły ją zaledwie minuty. Zacisnęła wilgotne od potu dłonie w pięści, kiedy rozpoczęto licytację dyptyku Rénarda. Kolejne oferty padały szybko, coraz szybciej, niczym ciężkie krople zwiastujące nadciągającą ulewę. Rozgorączkowany głos prowadzącego, który z trudem nadażał za licytującymi, niósł się po sali, a podekscytowane szepty odpowiadały mu echem. W galerii na półpiętrze nerwowo spacerowali pełnomocnicy kolekcjonerów z całego świata, telefonicznie ustalając strategię i składając kolejne, coraz hojniejsze oferty. Zarówno licytujący, jak i widzowie, wyprostowani jak struny, zdawali się zelektryzowani potężniejącym w sali napięciem.

Wśród powszechnej ekscytacji jeden tylko człowiek siedział nieporuszony, jakby ani zażarta licytacja, ani wykrzykiwane przez prowadzącego aukcję coraz wyższe kwoty nie robiły na nim najmniejszego wrażenia. Boski Brunet. Wygodnie rozciągnięty w swo-

im fotelu, śledził rozwój sytuacji z umiarkowanym zainteresowaniem kogoś, kto ogląda film, którego zakończenie już zna.

- Anonimowy kolekcjoner licytujący przez telefon przebija o... dziesięć milionów.
- Głos prowadzącego aukcję wypadł z wytrenowanych, zawodowych kolein i ścichł wyraźnie pod wpływem autentycznego zdumienia. - A więc mamy siedemdziesiąt milionów. Czy usłyszę siedemdziesiąt jeden?

Prowadzone szeptem rozmowy umilkły jak ucięte nożem. Ucichły szmery, sala zamarła w oczekiwaniu. Okrągłymi z przerażenia oczami Cally wpatrywała się w Ginę, agentkę London City Gallery. Kiedy rozmawiały przed licytacją, Gina twierdziła, że jest pewna wygranej. Teraz nie sprawiała już wrażenia pewnej czegokolwiek - ściągnęła brwi i zacisnęła usta, a ręka, którą uniosła, oferując wyższą stawkę, drżała lekko.

- Siedemdziesiąt jeden milionów po raz pierwszy - podchwycił prowadzący.

Wszystkie spojrzenia skierowały się ku galerii, gdzie przebywali pełnomocnicy licytujących przez telefon. Stało się jasne, że aukcja przemienia się w zażarty pojedynek pomiędzy agentką londyńskiego muzeum a anonimowym nabywcą.

- Siedemdziesiąt dwa miliony! Proszę państwa, siedemdziesiąt dwa miliony po raz pierwszy! - Prowadzący aukcję entuzjastycznie spuentował oszczędny, ale wymowny gest człowieka z telefonem przy uchu.

- Siedemdziesiąt trzy. - Twarz Giny zrobiła się kredowobiała.

Cally była pewna, że agentka licytuje więcej, niż wynosi zgromadzona przez muzeum suma pieniędzy, i liczy na cud. Czy ważyła się na podobne ryzyko, bo popchnęła ją do tego magiczna moc *Miłości ku morzu*, która sprawiała, że ludzie śmiało sięgali po marzenia? Cally wstrzymała oddech, zaklinając w myślach anonimowego licytującego, żeby zrezygnował z walki. Nikt się nie spodziewał, że *Mon amour par la mer* osiągnie tak zawrotną cenę. Gina nie mogła licytować w nieskończoność.

- Osiemdziesiąt milionów - dał się słyszeć spokojny głos z galerii.

- Osiemdziesiąt milionów po raz pierwszy! - podchwycił prowadzący, maskując zaskoczenie entuzjazmem. - Proszę państwa, niesamowita rzecz! Osiemdziesiąt milionów od licytującego, który pragnie pozostać anonimowy. Czy znajdzie się śmiałek, który przebije tę ofertę?

Gina posłała Cally przepraszające spojrzenie, pokręciła głową i bezradnie skuliła ramiona.

- Osiemdziesiąt milionów po raz drugi... - prowadzący dramatycznie zawiesił głos.
- I po raz trzeci. Sprzedane za osiemdziesiąt milionów funtów do prywatnej kolekcji anonimowego nabywcy.

Trzy uderzenia młotka ogłaszające dokonanie transakcji rozbrzmiały w głowie Cally niczym salwa oddana przez pluton egzekucyjny. To był koniec jej marzeń, koniec nadziei na przełom w karierze. Posłała ostatnie, przepelnione rozpaczą spojrzenie

Miłości ku morzu, kiedy ruchomy panel obrócił się powoli, zabierając obraz sprzed jej oczu. Czy jeszcze kiedykolwiek go zobaczy? Nawet jeśli tak, to na pewno nieprędko. Arcydzieło stało się łupem kolejnego nababa, który zamknie je w swoim zamczysku. Dopiero kiedy i on, przedawkowawszy szkocką i kubańskie cygara, kopnie w kalendarz, *Miłość ku morzu* być może pojawi się na kolejnej aukcji...

Cally nie słyszała narastającego szumu, nie widziała, że ludzie wokół niej podnoszą się z miejsc i ruszają do wyjścia gwarną falą. Siedziała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w pustą ścianę naprzeciwko. Czuła się chora. Najpierw podekscytowanie spowodowane świadomością, że jej marzenie znalazło się w zasięgu ręki, potem narastający niepokój i wreszcie szok i gorzkie rozczarowanie - to wszystko zupełnie pozbawiło ją sił. Z trudem nabrała powietrza; każdy oddech sprawiał jej ból, jakby jakaś lodowata, stalowa obręcz zaciskała się na jej piersi. W skroniach czuła pulsujące klucie nadchodzącej migreny.

Zamrugła, próbując wziąć się w garść. Po namyśle zdecydowała, że jeszcze chwilę posiedzi. Nie chciała przecież zrobić z siebie pośmiewiska, mdlejąc na środku reprezentacyjnej sali Domu Aukcyjnego Crawforda, na oczach tłumu milionerów. Zresztą nie miała się do czego spieszyć. Czekala ją noc w tanim londyńskim hotelu, a potem powrót do dziupli na poddaszu w Cambridge i kolejny rok wegetacji od zlecenia do zlecenia, liczenie każdego grosza, żeby starczyło na czynsz za mieszkanie i pracownię. Westchnęła ciężko. Cóż, życie to nie bajka.

- Wygląda pani na kogoś, komu przydałby się jeden głębszy.

Cally nie podniosła głowy. Choć ten męski głos słyszała po raz pierwszy w życiu, nie miała wątpliwości, do kogo należy. Jego niska, ciepła barwa i śpiewny, francuski akcent przeszły ją gwałtownym dreszczem. Kobięcy instynkt jej nie mylił - w następnej chwili Boski Brunet usiadł w sąsiednim fotelu.

- Ależ nic podobnego. - Energicznym gestem odgarnęła włosy z twarzy, a potem sięgnęła po torebkę. Palce drżały jej lekko. - Dziękuję za troskę, ale właśnie miałam wychodzić...

Zerwała się z miejsca. Zastąpił jej drogę.

- Nie przekonała mnie pani.

Był tak blisko... za blisko. Górował nad nią, a jego niesamowite oczy koloru ciepłego morza patrzyły na nią przenikliwie. Serce zatrzepotało jej w piersi niczym spłoszony ptak.

- Kim pan jest? - Pokryła zmieszanie chłodnym uśmiechem. - Psychologiem pracującym w Domu Aukcyjnym Crawforda? Dyżuruje pan podczas licytacji dziesięciu najcenniejszych obiektów, a po skończonej imprezie niesie pomoc niedoszłym klientom, którzy wpadli w czarną rozpacz?

- Ach, więc zauważyła pani, w którym momencie pojawiłem się w sali. - Boski Brunet błysnął zębami w leniwym, zadowolonym uśmiechu.

Cally nie mogła oderwać wzroku od jego ust. Poczowała, jak wzbiera w niej fala żaru, zabarwiając policzki ciemną czerwienią.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. - Posłała mu bystre spojrzenie spod zmarszczonych brwi. Miała nadzieję, że nie zauważył jej rumieńców.

- Istotnie, nie zrobiłem tego - oświadczył spokojnie.

Cally czekała jeszcze sekundę, a kiedy zrozumiała, że Boski nie powie ani słowa więcej, skrzywiła wargi w ironicznym grymasie. Nie znosiła ludzi, którzy zadzierali nosa i bawili się w sekrety.

- Jeszcze raz dziękuję za troskę. I żegnam. Najwyższy czas, żebym wróciła do hotelu.

- Nie jestem - rzucił, kiedy zrobiła krok, chcąc go wyminąć. - Nie jestem psychologiem na etacie u Crawforda.

- Nie? Więc kim pan jest?

- Leon. - Skłonił się lekko. - Przyjechałem tu... reprezentować mój uniwersytet.

Uniwersytet? Boski Brunet był wykładowcą? Jeśli tak, to Cally musiała przyznać, że naprawdę dużo straciła, nie wyjeżdżając na studia do Francji. Jej brytyjscy profesorowie mieli sześćdziesiątkę na karku i wyglądali tak, jakby nie używali maszynki do golenia ani nie odwiedzali fryzjera od dnia, w którym osiągnęli pełnoletność. Wszyscy też wykazywali zdecydowaną predylekcję do ubrań, które wyglądały jak bardzo stare worki na kartofle. Żaden z nich w najmniejszym stopniu nie przypominał stojącego przed nią mężczyzny. Zdumiona, przesunęła wzrokiem po garniturze leżącym idealnie na jego aż zbyt doskonałej sylwetce, białej koszuli w delikatne prążki i jedwabnym krawacie, który subtelnie podkreślał kolor oczu.

Czyżby nie był tak obrzydliwie bogaty, jak wskazywałyby na to jego strój? Może, jako Francuz, po prostu miał bezbłędne wyczucie stylu?

- Cally - przedstawiła się, wyciągając dłoń.

Oczy o barwie oceanu i lekko nieobecny spojrzem odnalazły jej wzrok. Uścisk jego ręki był mocny i zaskakująco ciepły. Cally poczuła, jak unosi ją przyływ ciepłego morza, kołysząc łagodnie jej nagle lekkie, jakby nieważkie ciało... Potrząsnęła głową, żeby się uwolnić od tego dziwnego uczucia, i z trudem powróciła do rzeczywistości.

- Cally - wymówił jej imię miękko, z francuska. - Czyżbyś była zrozpaczoną niedoszłą nabywczynią?

- Czy twoim zdaniem nie wyglądam na klientkę Crawforda? - obruszyła się, kiedy uniósł jedną brew w wyrazie pełnym powątpiewania.

Nie uważała, by miał prawo ją oceniać. Jako wykładowca, nawet niebywale elegancki, też z całą pewnością nie mógł sobie pozwolić na zakup choćby najskromniejszego z dzieł prezentowanych na aukcji.

- Moim zdaniem nie złożyłaś ani jednej oferty.

- Ach, więc obserwowałeś mnie podczas licytacji? - Zatrzepotała rękami, robiąc minę naiwnej laleczki.

Co się ze mną dzieje? - pomyślała gorączkowo. Takie zachowanie zupełnie nie było w jej stylu. Ale myśl, że Boski Brunet właśnie ją zauważył w tłumie bogaczy, miała w

sobie coś upajającego. Coś, co budziło w niej chęć, by choć na chwilę zerwać ze swoją zwykłą, pełną rezerwy postawą.

- Tak właśnie było - przyznał z leniwym uśmiechem. - A ponieważ ty też nie odpowiedziałas na moje pytanie, więc jesteśmy kwita.

Cally popatrzyła na pusty panel ścienny, gdzie zaledwie chwilę temu widziała *Miłość ku morzu*. Teraz obraz zniknął, być może na zawsze.

- To... skomplikowane. Powiedzmy, że dzisiejszy wieczór miał odmienić moje życie na lepsze, ale tak się nie stało.

- Wieczór dopiero się zaczyna - wymruczał Leon, mrużąc oczy jak kot. - Proponuję, żebyśmy się wybrali gdzieś na drinka.

Cally zmusiła się, żeby oderwać od niego spojrzenie, póki jeszcze nie zdążył jej całkowicie zahipnotyzować. Z udawanym niepokojem spojrzała na zegarek.

- Naprawdę muszę już wracać do hotelu - oświadczyła zdecydowanie, ruszając w stronę wyjścia.

- Czyżby? Czekasz tam na ciebie coś niebywale interesującego? Czy może po prostu jesteś typem kobiety, która wszędzie wietrzy podstęp i woli zamknąć się w skorupie niż podjąć jakiegokolwiek ryzyko?

Pytanie zadane spokojnym, lekko beczelnym tonem sprawiło, że Cally zatrzymała się w pół kroku.

- Nie urodziłam się wczoraj i zdaję sobie sprawę, że takie zaproszenie, jeśli pada z ust nieznanego mężczyzny, jest rodzajem kodu. Wiem, co ów kod oznacza, i nie jestem zainteresowana - odparła chłodno.

Nie chciała, żeby się zorientował, że jego słowa wzbudziły w niej cień niepokoju. Nie zamierzała przejść przez życie jak tchórz, utartymi ścieżkami, unikając wszystkiego, co mogłoby być choć trochę niebezpieczne... i ekscytujące. Z drugiej strony, spędziła dostateczną ilość czasu, wysłuchując zwierzeń przyjaciółek, by wiedzieć, że przygody z nieznanymi w większości wypadków kończyły się gorzkim rozczarowaniem. Nie miała zamiaru przekonywać się o tym w praktyce, więc zamiast bywać w barach i na dyskotekach, zamknęła się w wieży z kości słoniowej. Od długich siedmiu lat spędzała wieczory, studiując opasłe księgi, analizując skład chemiczny farb i werniksów używanych

przez dawnych mistrzów. Często się zdarzało, że świt zastawał ją w pracowni, a ona nawet nie zauważała pierwszych promieni wschodzącego słońca, skupiona na eksperymentowaniu z jakąś dawną techniką malarską. Zmieniała gęstość farb i nasycenie barw, ćwiczyła pociągnięcia pędzla tak długo, aż nie różniły się niczym od tych, które setki lat temu wykonał artysta.

Żyła jak mniszka, całkowicie oddana zgłębianiu swojego rzemiosła. I dokąd ją to zaprowadziło? Donikąd. Zupełnie donikąd.

Zmarszczyła brwi. Co by się stało, gdyby ten jeden, jedyny raz odstąpiła od swoich zasad i powiedziała Boskiemu „tak”? Tego wieczoru przeżyła już największe rozczarowanie swojego życia. Nie sądziła, by mogła się czuć jeszcze gorzej. Więc, w sumie, nic nie szkodziło spróbować. Przynajmniej zajmie myśli czym innym niż przeżyta porażką.

- Jeśli jednak się mylę i twoje zaproszenie istotnie dotyczy drinka, zgadzam się z chęcią - dodała gładko. - Ale pod jednym warunkiem. Nie będziemy rozmawiać o pracy.

Kiedy skwitował jej słowa uśmiechem pełnym nieodpartego uroku i szarmanckim gestem podał jej ramię, zadrżała lekko. Przeczucie, że zbliżając się do tego mężczyzny, ryzykuje o wiele więcej niż tylko chwilowe rozczarowanie, przeniknęło ją nagłym, gwałtownym dreszczem.

Przed nimi, w ulicach Londynu, noc jarzyła się milionami świateł.

ROZDZIAŁ DRUGI

Leon nie miał pojęcia, dokąd iść. Prawda wyglądała tak, że od chwili, gdy na przedaukcyjnym pokazie obrazów zobaczył Cally po raz pierwszy, nie bardzo wiedział, na jakim świecie żyje. Zrobiła na nim ogromne i zupełnie nieoczekiwane wrażenie. Podczas gdy inni goście przyglądali się światowej sławy dziełom wzrokiem pełnym chłodnego wyrachowania, planując, w które z nich zainwestować fortunę podczas licytacji, on nie mógł oderwać oczu od młodej kobiety zatopionej w kontemplacji znakomitego dyptyku Rénarda. Wyprostowana, smukła, stała zupełnie nieruchomo wśród gwarne go, kolorowego tłumu. Leon zatrzymał się również, zauroczony, jakby rzuciła na niego czar. Zapatrzył się na jej lekko uniesioną twarz o profilu tak niepowtarzalnym i doskonałym, jak smak czystej, źródlanej wody. Cerę miała jasną, a pełne, pięknie wykrojone wargi kazały się domyślać wielkiej wrażliwości. Duże oczy w kształcie migdałów, o niesamowitym, hiacyntowym odcieniu, lśniły tajemniczo w cieniu gęstych, długich rzęs. Jej włosy, równo przycięte ponad linią brwi, opadały na ramiona gładką, ciemną falą, mieniającą się refleksami intensywnej miedzi. Nagle, całkiem niespodziewanie dla siebie pomyślał, że tak właśnie musiała wyglądać Nimué, tajemnicza czarodziejka ze starych francuskich legend. Piękna i groźna Nimué, która władała potężnymi czarami, znała odwieczne tajemnice i budziła ogniste żądze w każdym śmiertelnym mężczyźnie, na którego drodze stała.

Wraz z tą myślą wezbrała w nim fala pożądania, choć nieznajoma nie zrobiła absolutnie nic, by przyciągnąć jego zainteresowanie. Nawet na niego nie spojrzała. W przeciwieństwie do innych kobiet przybyłych na pokaz do Domu Aukcyjnego Crawforda nie była mocno umalowana i nie nosiła żadnych ozdób. Jej strój, choć elegancki, był nadzwyczaj skromny - miała na sobie prostą, czarną bluzkę koszulową ze stójką ozdobioną dyskretną koronką i rękawkami w kształcie zabawnych bufek oraz długą do kostek, prostą spódnicę w soczystym kolorze mchu. Ubranie, okrywające ją niemal od stóp do głów, nie mogło jednak zamaskować niezwykle atrakcyjnej figury. Ramiona miała krągłe, delikatne i mocne zarazem. Pod cienkim materiałem zapiętej pod szyję bluzki rysowały się strome piersi, apetyczne jak dojrzałe pomarańcze. Spódnica z wysokim stanem, przewią-

zana szeroką szarfą, podkreślała smukłość jej talii i piękny, hojny łuk bioder. Dopasowany krój pozwalał cieszyć oko widokiem zarysu jędrnych pośladków.

Nimué. Tajemnicza, piękna i groźna.

Chciał do niej podejść, spojrzeć jej w oczy, ująć jej dłoń. Zagadnąć ją i usłyszeć jej głos. Podejrzywał, że mówiła dźwięcznym, lekko przydymionym altem... Chciał znaleźć się z nią sam na sam, wyswobodzić ją z tego ponadczasowego stroju, o wiele zbyt skromnego dla kobiety o tak niespotykanej urodzie. Coś ciągnęło go do niej z przemożną siłą.

Odwrócił się i odszedł w przeciwny kąt sali. Musiał uciekać, znaleźć się poza zasięgiem jej zniewalającego uroku. Znał swoje obowiązki i aż za dobrze wiedział, że nie może sobie pozwolić na przygodę z przypadkowo spotkaną czarodziejką, choćby była nie wiadomo jak pociągająca. Zanim w ogóle rozważy nawiązanie z nią nawet powierzchownej znajomości, musi ją sprawdzić. Przekonać się, że jest godna zaufania i będzie w stanie utrzymać ich spotkanie w dyskrekcji.

Opuścił gmach Crawforda i długo spacerował bez celu po ulicach Londynu, próbując odzyskać spokój. Jeśli jednak liczył na to, że zapomni o czarodziejce, gdy straci ją z oczu, zupełnie się pomylił. Tamtej nocy jej obraz ani na chwilę nie przestał go prześladować. Przez długie, ciemne godziny przewracał się na łóżku, a kiedy zapadał w niespokojną drzemkę, widział ją, smukłą i miedzianowłosą, nad brzegiem wzburzonego oceanu. Śmiało kroczyła ku falom, a ukośne promienie słońca padające spod ciężkiej, burzowej chmury, pieściły jej jasne, nagie ciało.

Kiedy następnego dnia nie nastąpiła poprawa samopoczucia, Leon się poddał. Ostatecznie nic nie szkodziło sprawdzić, kim była tajemnicza Nimué. Człowiek z jego koneksjami wiedział, komu zadać pytania, żeby otrzymać konkretne odpowiedzi. Wystarczyły dwa telefony i piętnaście minut później miał wszystkie informacje. Nazywała się Cally Greenway i była bardzo obiecującym konserwatorem obrazów. London City Gallery miała zamiar zlecić jej renowację dyptyku Rénarda zaraz po zakupie.

Leonowi zdawało się, że słyszy chichot losu. I pierwszy raz w życiu miał ochotę mu zawtórować. London City Gallery nie będzie potrzebowała usług konserwatora, gdyż

Miłość ku morzu nie znajdzie się w posiadaniu muzeum. On natomiast zyskał bardzo dobry pretekst, by bliżej poznać pannę Greenway.

- Dokąd pójdziemy? - spytała, unosząc ku niemu drobną, jasną twarz o fascynujących rysach.

W wieczornym mroku jej hiacyntowe oczy lśniły tajemniczo. Głos miała dokładnie taki, jak sobie wymarzył: melodyjny, zmysłowo przydymiony.

- Może ty wybierzesz? - rzucił swobodnie.

Zauważył, że wykrzywiła usta w grymasie zniecierpliwienia, ale zaraz się opanowała, przywołując na twarz chłodny półuśmiech.

Zatrzymała się przed otwartym na oścież wejściem do zatłoczonej knajpki. Z tonącego w półmroku wnętrza dobiegał gwar rozmów punktowany wybuchami śmiechu, dźwięczało szkło, kobiecy głos śpiewał rockową balladę. Nad drzwiami fantazyjnie powyginane, kolorowe świetlówki układały się w napis „Droga Donikąd”.

- To miejsce będzie idealne - oświadczyła Cally bez wahania.

Bar pełen amatorów piwa i muzyki rockowej był o wiele bezpieczniejszym wyborem niż spokojna restauracja, gdzie stoliki ustawione w przytulnych niszach gwarantowały intymność.

Leon nie pokazał po sobie zdziwienia. Spojrzał na szyld i z lekkim uśmiechem skinął głową.

- *D'accord*. W porządku.

Weszli do środka. Rozbawieni ludzie tańczyli w rytm energetycznej piosenki, której dziwaczne słowa wykrzykiwała do mikrofonu wysoka, młoda Murzynka. W półmroku lśniły długie, rozpuszczone włosy dziewcząt, błyszczały bransoletki na przegubach uniesionych rąk. Ustawiony pod przeciwległą ścianą bar tonął w ciepłym świetle nisko zawieszonych lamp. Leon odsunął wysoki stółek dla Cally, a kiedy usiadła, swobodnym gestem zdjął marynarkę i zajął sąsiednie miejsce.

- Na co masz ochotę? - wymruczał. - Może na Śmiałą Pieszczotę? Albo na Krzyk Rozkoszy?

- Słucham?! - Prostując się gwałtownie, zmierzyła go wzrokiem pełnym oburzenia.

Odpowiedział jej kpiącym spojrzeniem sponad karty drinków, którą właśnie czytał.

Ukryła rumieniec zakłopotania, również pochylając się nad menu.

- Chętnie skosztuję... Magii Nocy - powiedziała po dłuższej chwili wahania.

- Och, ja również. - Z zawadiackim uśmiechem rozsiadł się wygodniej, podwinął rękawy koszuli i oparł łokcie o blat.

Cally z rozbawieniem zauważyła, że wystarczyła mu chwila, by z dystyngowanego dżentelmena, gościa elitarnych rautów, przemienić się w wyluzowanego imprezowicza. Odprężony, wystukiwał palcem rytm piosenki, a kiedy barman skończył obsługiwać siedzących niedaleko klientów, przywołał go swobodnym gestem dłoni i zamówił drinki.

- Przyznaj się, że przychodzisz tu co wieczór. - Cally postanowiła wziąć przykład z Leona i założyła nogę na nogę, próbując się dostroić do beztroskiej, lekko szalonej atmosfery panującej w knajpce.

- Bywałem tu regularnie, ale na stałe mieszkam we Francji - westchnął, udając żal. - A jaka jest twoja wymówka?

- Ja mieszkam w Cambridge - zaśmiała się.

- Nie mów, że nigdy jeszcze nie wkroczyłaś... na drogę donikąd.

- Nie. To jest mój pierwszy raz. - Cally upiła łyk chłodnego napoju z wysokiej szklanki.

Drink smakował zaskakująco. Zmrużyła oczy, próbując rozpoznać składniki oryginalnej kompozycji. Zdawało jej się, że wyczuwa rześkie nuty kwiatów czarnego bzu, mięty i cytryny, łagodzące słodycz wermutu. Nagle zachciało jej się śmiać. Nazwa „Droga Donikąd” była aż nazbyt adekwatna do jej sytuacji.

- Za co wypijemy? - Leon uniósł swoją szklankę i posłał jej intensywne spojrzenie spod ciemnych brwi.

- Za odkrycie, że ciężka praca nie popłaca - wyrwało jej się. Nie zamierzała roztrząsać porażki, którą poniosła tego wieczoru, ale nagle poczuła, że musi wyrzucić z siebie rozgoryczenie. Może wtedy znajdzie siłę, by się pozbierać i jeszcze raz zacząć wszystko od zera? - Za drogę donikąd - dodała, salutując swoją szklanką.

- Dzisiejszego wieczoru sprawy nie ułożyły się po twojej myśli? - Leon nie odrywał od niej skupionego spojrzenia.

- Niestety, absolutnie nie. London City Gallery wynajęła mnie do prac konserwatorskich nad dyptykiem Rénarda, który mieli zamiar kupić na tej aukcji. Uważali, że to pewnik. Niestety ktoś sprzątnął im obraz sprzed nosa.

- Jesteś pewna, że wszystko stracone? Skoro nie jesteś na etacie w London City Gallery, możesz śmiało zaoferować usługi nowemu nabywcy.

- To nie takie proste. *Miłość ku morzu* kupił prywatny kolekcjoner. - W tonie jej głosu wyraźna niechęć mieszała się z pogardą.

- Jakie to ma znaczenie, kim jest? - Leon zmarszczył brwi. - Nowy właściciel na pewno będzie chciał odrestaurować obraz.

- Od razu widać, że nie znasz ludzi tego pokroju - prychnęła. - Prywatni kolekcjonerzy... Dzieło sztuki to dla nich rzecz nabyta, coś jak nowe ferrari albo nadmorski apartament w Dubaju. Wieszają obraz na ścianie, a kiedy cała śmietanka towarzyska już go obejrzy i zzielenieje z zazdrości, zapominają o nim i pozwalają, by się kurzył. Nawet jeśli nowy właściciel będzie chciał odrestaurować płótno, z pewnością nie zwróci się do mnie. Wybierze któregoś z tych kuglarzy, którzy obiecują osiągnięcie spektakularnych rezultatów w rekordowym tempie, ale ich ingerencja tak naprawdę degradowuje dzieło. Ale to nie przeszkadza bogaczom. Im zależy tylko na pozorach.

- Widzę, że nie masz najlepszego zdania o prywatnych kolekcjonerach - powiedział Leon powoli, z dziwnym napięciem w głosie. - Załóżmy, że jeden z nich zwróciłby się do ciebie z ofertą pracy przy konserwacji *Miłości ku morzu*. Odmówiłabyś z pobudek ideologicznych?

- O, nie. - Energicznie pokręciła głową, aż ogniste kosmyki zatańczyły wokół jej twarzy. Gdyby mimo wszystko otrzymała szansę pracy nad dyptykiem Rénarda... Już samo rozważanie takiej nieprawdopodobnej hipotezy sprawiło, że przyływ adrenaliny pobudził jej serce do szybszego bicia. - Zgodziłabym się natychmiast! Oczywiście, nie pochwalam zamiaru trzymania tego arcydzieła pod kluczem; jego miejsce jest w muzeum, by wszyscy mogli je podziwiać. Jednak... konserwacja tego płótna byłaby spełnieniem moich marzeń. Gdybym mogła wpisać takie zlecenie do życiorysu, zyskałabym światową renomę w mojej branży.

Leon w milczeniu skinął głową. Słowa Cally rozczarowały go, ale nie zaskoczyły. Choć na pierwszy rzut oka wydała mu się niezwykła i wyjątkowa, wystarczyła chwila rozmowy, by wyszło na jaw, jaka jest naprawdę. Marzyła jedynie o sławie i pieniądzach. Jak każda kobieta, pomyślał cynicznie.

Zgodziła się spędzić z nim wieczór, stawiając warunek, że nie będą rozmawiać o sprawach zawodowych. Tymczasem wystarczyło jedno niewinne pytanie i łyk alkoholu, by nie była w stanie opanować wybuchu emocji. Odkąd zajęli miejsca przy barze, nie mówiła właściwie o niczym innym, jak tylko o pracy. Najwyraźniej konsekwencja w działaniu nie była jej mocną stroną. Czy w ogóle potrafiła dotrzymywać słowa? Cóż... istniał prosty sposób, żeby to sprawdzić. Dała mu przecież do zrozumienia, że nie powinien liczyć na nic więcej niż jeden drink w jej towarzystwie. Nagle zapragnął się przekonać, czy w tej kwestii równie łatwo zmieni zdanie...

- Na pokazie przedaukcyjnym widziałas *Miłość ku morzu* po raz pierwszy? - zagadnął.

- Na pokazie przedaukcyjnym... - zaczęła i urwała gwałtownie. - Nie miałam pojęcia, że w ogóle mnie wtedy zauważyłeś!

Nie odpowiedział od razu. Zaczekał, aż odnajdzie oczami jego oczy.

- Och, zauważyłem cię, gdy tylko wszedłem do sali - zniżył głos. - I od razu cię zapragnąłem. Nie mogłem przestać o tobie myśleć. Pojawiłem się na aukcji tylko po to, żeby znów cię zobaczyć.

Cally omal się nie zachłysnęła kolejnym łykiem Magii Nocy. Słowa, które wypowiedział... były kompletnie nierzeczywiste, a zarazem blisko, intymnie znajome, jakby od zawsze wiedziała, że je usłyszy. Fala rozedrganych, gorących emocji zawładnęła jej ciałem. Niedowierzenie splotło się z jakąś dziwną pewnością, że tak właśnie chciało przeznaczenie, i wybuchło w jej piersi fajerwerkiem ekscytacji.

- Powinnam teraz wstać i wyjść - powiedziała powoli, odstawiając do połowy opróżnioną szklankę na blat.

- Więc zrób to - odparł spokojnie, odchylając się na oparcie krzesła.

Opuściła głowę, pozwalając, by ciemne, lśniące miedzią pasma włosów opadły na jej twarz. Kiedy po chwili podniosła wzrok, w jej oczach lśniło wyzwanie.

- Przyszliśmy tu na drinka, a ja jeszcze nie dokończyłam mojego.

- Czy zawsze postępujesz dokładnie tak, jak zapowiedziałaś, Cally? - wymruczał powoli.

- Staram się - odparła z prostotą. - Nie znoszę ludzi, którzy mówią jedno, a robią drugie.

- Ja też nie. - Z wyraźną przyjemnością pociągnął kolejny łyk napoju. - A skoro wybrałaś właśnie tę knajpkę, to z pewnością poza drinkiem miałaś na myśli również i taniec...

Cally rzuciła spłoszone spojrzenie na parkiet. Wokalistka właśnie zaczęła śpiewać zmysłową, tęskną balladę, gitary i perkusja podjęły rozkołysany, niespieszny rytm.

- Żartujesz, prawda? - powiedziała niepewnie.

- Nieprawda. Jeśli kochasz sztukę, musisz doceniać piękno ulotnych chwil. Czyż to nie one są natchnieniem artystów?

Miał rację. Sztuka jest celebracją życia, pomyślała. Hołdem oddanym pięknu tego świata. A ona właśnie w tej chwili miała przed sobą jeden z najbardziej zachwycających jego przejawów. Dlaczego miałyby się nim nie cieszyć? Objęła złaknionym spojrzeniem siedzącego obok niej mężczyznę. Ciemne włosy o głębokiej barwie odziedziczył zapewne po pochodzących z południa przodkach, pełnych gorącego, zmysłowego temperamentu, a intensywny kolor oczu o lekko nieobecny, jakby rozmarzonym wyrazie świadczył tym, że w jego żyłach płynie również celtycka krew. Był wspaniały, niczym rzymski wojownik albo heros z irlandzkich legend. Coś ciągnęło ją do niego z siłą, której nie potrafiła się oprzeć. Czowała się bezwolna jak ćma wobec śmiertelnego piękna płomienia świecy.

Zachwyt i przerażenie skłębiły się w jej duszy, wyciszając wszelkie myśli. Gdyby ktoś ją teraz spytał, jakie rozczarowanie przeżyła tego wieczoru, nie miałaby pojęcia, o co mu chodzi.

- Zgoda. - Odrzuciła włosy do tyłu. - Zatańczmy.

Leon wstał i wyciągnął rękę do Cally, a ona zsunęła się ze stołka. Gdy jej stopy dotknęły ziemi, a dłoń znalazła się w mocnym uścisku jego dłoni, zaszumiało jej w głowie. Świat wokół niej zawirował, zadrżał w posadach. Czy sprawił to alkohol? Czy raczej pełne żaru spojrzenie Leona, które zdawało się pieścić jej usta?

Zmysłowy, mocny rytm muzyki przeniknął jej ciało, zlał się z uderzeniami serca, z pulsowaniem krwi. Lekko schrypnięty głos piosenkarki śpiewającej *Black Velvet* wznosił się i opadał, to miękki i romantyczny, to znów dziki i pełen emocji. Cally знаła ten utwór na pamięć - uwielbiała go słuchać, kiedy była nastolatką.

Leon otoczył jej talię ramieniem i poprowadził po parkiecie płynnym, zwodniczo powolnym krokiem, by nagle, gdy głos piosenkarki przybrał na sile, obrócić ją w dynamicznym piruecie i przegiąć w tył tak głęboko, że jej włosy spłynęły ku ziemi.

Dotrzymała mu kroku. Tańczyła bezbłędnie, jakby w jej żyłach zamiast krwi płynęła czysta muzyka. Kiedy znów przyciągnął ją do siebie, zobaczył, jak porusza wargami, cicho podśpiewując słowa piosenki. Nie mógł oderwać wzroku od jej ust, od pełnych piersi, unoszących się i opadających pod cienkim materiałem bluzki. Przez całe życie postępował według ustalonych reguł, przestrzegał protokołu tak skrupulatnie, że stał się on jego drugą naturą. Nigdy nie podejrzewał, że mógłby od niego odstąpić z powodu tak błahego jak kobiece wdzięki. Teraz zaś pokusa wydawała się nie do odparcia...

Objął mocniej dziewczynę, pochylił się nad nią i dotknął wargami delikatnej skóry na jej skroni.

- Wiesz, jak na mnie działasz? - wymruczał, przesuwając usta ku misternie wyrzeźbionej muszli jej ucha.

Nie odpowiedziała, westchnęła tylko. Delikatna pieśczoła jego warg sprawiła, że jej ciało stanęło w ogniu. I tylko jedno mogło ugasić trawiący ją żar - pocałunek. Prawdziwy, głęboki pocałunek...

Uniosła dłonie i objęła jego twarz. Nie mogąc uwierzyć we własną śmiałość, wspięła się na palce i odnalazła ustami jego usta. Przez moment, krótki jak uderzenie serca i wszechogarniający jak wieczność, ich wargi po prostu się dotykały. Cally poczuła, jak ciepło jego ust przenika ją na wskroś, i rozchyliła wargi z niemym westchnieniem. Nie czekał dłużej. Pocałował ją zachłannie jak człowiek umierający z głodu. Poczuła, jak jego dłonie obejmują jej pośladki, zaciskają się mocno, zaborczo. Pożądanie eksplodowało w niej, gwałtowne, oślepiające jak błyskawica. Wbiła palce w jego ramiona i odwzajemniła pocałunek. Jego smak, męski i intrygujący, nasunął jej skojarzenie z

korzenną nutą gorzkiej czekolady doprawioną odrobiną pikantnego chili. Wystarczyła chwila, by ją upoił.

Przyłgnęła do jego twardej piersi, odrzuciła głowę w tył i szerzej rozchyliła usta. Nigdy z nikim się tak nie całowała, nigdy nawet nie przypuszczała, że mogłaby robić coś takiego w miejscu publicznym... Ale teraz było jej obojętne, czy ktoś na nich patrzy.

- Chcesz stąd zniknąć? - usłyszała jego szept tuż przy swoich wargach.

- Tak - westchnęła. - Tak. Chodźmy.

Leon odsunął się od Cally. Jej usta były słodkie, ale teraz czuł tylko gorzki smak rozczarowania. Właśnie się przekonał, że jest niesłowna. Deklarowała, że nie zgodzi się na nic oprócz drinka, ale wystarczyła chwila, żeby się złamała. A więc nie mógł jej ufać. Opuścił ręce i zacisnął dłonie w pięści, usiłując stłumić huczący w nim ogień pożądania. Tłumaczył sobie, że nie ma powodu, by czuł się zawiedziony. Jeszcze nie urodziła się kobieta, która nie byłaby zmienna, płocha i zależna od chwilowych emocji.

Policzki Cally pałały, kolana miała zupełnie miękkie. Szła jak we śnie za Leonem, który torował im drogę ku wyjściu. Mocno trzymała się jego ramienia, jakby był jedyną ostoją w świecie, który nagle oszalał i wirował jej przed oczami. Wyszli na ulicę, w chłodny półmrok miejskiej nocy. Cally łapczywie wdychała rześkie powietrze, ale oszołomienie nie mijało. Jak przez mgłę widziała, że jej towarzysz unosi dłoń, by przywołać taksówkę. Kiedy samochód zatrzymał się przy krawężniku, Leon otworzył przed nią drzwi szarmanckim gestem. Wsiadła bez słowa i uniosła głowę, czekając, aż do niej dołączy. W oczach koloru hiacyntów lśniła niecierpliwość.

On jednak zatrzasnął drzwi oszczędnym gestem i cofnął się, dając szoferowi znak, by odjeżdżał. Cally zamarła. Lodowaty szok zdławił w jednej chwili jej błogie oszołomienie. Drżącą ręką otworzyła okno.

- Myślałam... że znikamy stąd razem? - wyjąkała, zdezorientowana.

- Nie. Ty stąd znikasz - odparł zimno. - Mówiłaś, że nie interesuje cię nic więcej niż jeden drink, pamiętasz?

Kiedy dotarło do niej, że została odprawiona, oburzenie zalało ją niczym ukrop, porażając całe ciało nagłym, palącym bólem. Taksówka włączyła się w ruch uliczny, zo-

stawiając w tyle wysokiego mężczyznę, stojącego bez ruchu na chodniku. Cally wychyliła się przez okno.

- Ty draniu! - krzyknęła na całe gardło.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kolejny samotny poranek. Cally poczłapała do kuchni, włączyła ekspres do kawy i zamyślona stanęła w oknie. Od tygodnia próbowała zrozumieć, czym sobie zasłużyła na upokorzenie życia, które zafundował jej ten łajdak, Leon.

Czy ich pocałunek na parkiecie, który dla niej był niezwykłym, zmysłowym doświadczeniem, dla niego był tylko testem? Pewnie tak. Cally nie miała wielkiego doświadczenia w sprawach męsko-damskich, więc nic dziwnego, że ten test oblała. On zaś miał wysokie wymagania i kiedy się zorientował, że ona ich nie spełni, pozbył się jej jak najszybciej. Albo może był narcyzem, który musiał wciąż od nowa udowodniać sobie, jak bardzo jest boski? Zaczepiał więc upatrzone kobiety i uwodził je, a kiedy dostrzegał w ich oczach, że dla niego są gotowe zapomnieć o rozsądku i zasadach moralnych, odchodził, zaspokoiwszy swoją próżność?

Nie doszła do żadnego wiążącego wniosku, a rozważania potęgowały tylko jej frustrację. Nie pojmowała, dlaczego przykrość, jaką wyrządził jej ten obcy mężczyzna, bolała bardziej niż anulowanie umowy z London City Gallery. Chyba naprawdę zbyt długo żyła jak mniszka, zamknięta na trzy spusty w swojej pracowni. Powinna to zmienić. To niedorzeczne, żeby chamskie zachowanie jakiegoś dupka mogło do tego stopnia wytrącić ją z równowagi.

Cally ziewnęła, nalala sobie pierwszy kubek kawy i usiadła przed komputerem. Miała nadzieję, że w jej skrzynce mejlowej pojawi się jakaś oferta pracy. Jej plan ożywienia relacji towarzyskich miał szanse powodzenia tylko wtedy, gdy nie będzie jej burczeć w brzuchu z głodu.

Przyszły trzy nowe wiadomości. Pierwszą wyrzuciła nie czytając - był to katalog nadesłany przez firmę, w której zamawiała farby i narzędzia. Nowe inwestycje będą musiały poczekać, bo na razie jej konto świeciło pustkami. Drugi mejl był od siostry. Jen

pytała, jak się udał pobyt w Londynie. Miała nadzieję, że zielona spódnica z surowego jedwabiu, którą pożyczyła Cally na aukcję, przyniosła siostrze szczęście, podobnie jak jej, gdy przed miesiącem włożyła ją na galę dziennikarską i odebrała pierwszą nagrodę za cykl reportaży. Cally westchnęła ciężko. Jej genialna siostra święciła triumfy w życiu zawodowym, a prywatnie była spełnioną żoną i matką. Cally cieszyła się oczywiście szczęściem Jen, ale za każdym razem, kiedy o niej myślała, czuła się jak najgorszy życiowy nieudacznik. Nie mogła teraz odpisywać siostrze.

Postanowiła poczekać, aż minie jej gwałtowny atak gorzkiej, żalosalnej zazdrości, i wróciła do sprawdzania poczty. Trzecia wiadomość przyszła od nadawcy o obco brzmiącym nazwisku, które Cally widziała po raz pierwszy w życiu.

Zaintrygowana, otworzyła ją i przeczytała:

Szanowna Pani,

Mam zaszczyt poinformować Panią, że jej dokonania zawodowe i szeroka wiedza z dziedziny konserwacji obrazów zwróciły uwagę księcia Montéz, który raczył wyrazić zainteresowanie nawiązaniem współpracy z Panią w związku z planowanymi pracami konserwatorskimi dzieł sztuki będących w jego posiadaniu.

Otrzymanie zlecenia zależy będzie od wyniku rozmowy kwalifikacyjnej, na którą winna się Pani stawić osobiście, na wyspie Montéz, w ciągu trzech dni od otrzymania niniejszej wiadomości. Bilety lotnicze zostaną dostarczone pocztą kurierską, o ile nie wyrazi Pani chęci zrezygnowania z naszej oferty.

Z wyrazami szacunku,

Boyet Durand,

w imieniu Jego Wysokości Księcia Montéz

Cally przetarła oczy, wypila kolejny łyk kawy i wbiła wzrok w ekran, podejrzewając, że musiała na chwilę zapaść w drzemkę i dziwaczny list z zaproszeniem na wysepkę Montéz był tylko snem. Ale nie - wyglądało na to, że naprawdę oferowano jej darmową podróż do śródziemnomorskiego księstwka leżącego u wybrzeży Francji. Zagadkowe.

Czy powinna niezwłocznie usunąć ten mejl, podejrzewając oszustwo? Trudno powiedzieć. Jeśli ktoś usiłował wyłudzić pieniądze, żerując na jej naiwności, robił to o wiele subtelniej niż internetowi naciągacze wysyłający wiadomości typu „wygrała pani telewizor plazmowy, prosimy opłacić koszty przesyłki...”. W przeciwieństwie do zwykłych spamerów nadawca nie obiecywał krociowych zysków, pod warunkiem dokonania drobnej inwestycji, a jego wiedza na temat odbiorcy wiadomości nie ograniczała się do znajomości adresu mejlowego.

Kto wie, może zdarzył się cud i jej skromną stronę internetową odwiedził potencjalny klient, który będzie w stanie godziwie zapłacić za jej usługi? To byłoby coś nowego - dotąd z reguły dostawała zlecenia od biedniutkich, prowincjonalnych muzeów, zubożałych parafii albo osób prywatnych, które prosiły, żeby zajęła się obrazem stanowiącym jedyny spadek po ukochanej babci.

Cally odchyliła się na oparcie fotela i przeczytała list po raz trzeci. Dopiero teraz, gdy oswoiła się z jego zaskakującą treścią i staroświeckim stylem, uderzył ją autorytarny ton, jakiego użył ów nieznany jej pan Durand. Otrzymała polecenie stawienia się przed obliczem mości księcia w wyznaczonym przez niego terminie. Nadawcy nie przyszło nawet do głowy, by zapytać, czy ów termin jej odpowiada, lub chociażby zawiadomić o dacie spotkania z przyzwoitym wyprzedzeniem. Korciło ją, żeby odpisać w podobnym tonie, oświadczając, że Jego Wysokość uczynił jej wielki honor swoją propozycją, wszakoż jest w błędzie, jeśli sądzi, że ona, Cally Greenway, dysponuje nieograniczoną ilością czasu. W istocie, jej grafik jest bardzo napięty, i niezmiernie żałuje, ale nie ma możliwości przyjęcia zlecenia w tak krótkim terminie.

Wiedziała jednak, że tego nie zrobi, gdyż, niestety, książę nie był w błędzie. Cally miała czasu aż nadto, za to jej konto świeciło pustkami. W tej sytuacji naprawdę nie mogła zadzierać nosa, ograniczyła się więc do wysłania krótkiego, uprzejmego podziękowania za zaproszenie.

Wciąż niepewna, czy ktoś niej obrał jej sobie za cel dziwaczny żart, zajęła się codziennymi sprawami. W to, że bilet lotniczy na Montéz zostanie jej dostarczony zgodnie z obietnicą, powątpiewała aż do chwili, gdy na progu jej mieszkania pojawił się ku-

rier. Spakowała niewielką torbę podróżną i pojechała na lotnisko, jednak nawet gdy już siedziała w samolocie, wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

- Niech pani pozwoli za mną, *mademoiselle*. Księżę udzieli audiencji w gabinecie.

Cally zamrugała, próbując przyzwyczaić wzrok do półmroku, jaki panował w wysokim, łukowato sklepionym holu kamiennego pałacu. Kiedy przed czterdziestoma minutami wysiadła z samolotu na małym lotnisku Montéz, blask słońca górującego nad bezkresem morza praktycznie ją oślepił. Dopiero po chwili dostrzegła poszarpaną linię wysokich gór stanowiących serce wyspy i smukłą sylwetkę tysiącletniego grodu wzniesionego z jasnego kamienia, który zdawał się wyrastać ze stromych zboczy niczym naturalna skalna forma.

Widok był przepiękny. Cally nie mogła uwierzyć, że ma przed oczami rzeczywiste miejsce, a nie obraz namalowany przez genialnego pejzażystę. Właśnie wyciągała z torby szkicownik, żeby choć kilkoma kreskami utrwalić niezwykle wrażenie, kiedy tuż obok niej zatrzymała się długa limuzyna. Szofer, który okazał się czarnooką dziewczyną z grubym, ciemnym warkoczem, oświadczył, że ma polecenie niezwłocznie zabrać pannę Cally Greenway do książęcego pałacu.

Teraz, idąc za godnie wyprostowanym, siwowłosym majordomusem, znów miała wrażenie, że śni. Szerokie schody z białego marmuru łagodnym łukiem wiodły na piętro, ku zalanej światłem galerii, którą od wewnętrznego dziedzińca oddzielała tylko ażurowa, smukła kolumnada. Słysząc tu było szmer fontanny, a powietrze przesyciła woń damasceńskich róż, których ogromne krzewy otaczały kamienny basen, wypełniony połyskującą złościście wodą. Cally pożałowała nagle, że ma na sobie swój dyżurny „wyjściowy” strój, który wkładała, gdy wybierała się na spotkanie w sprawach zawodowych. Dotąd sądziła, że szerokie, czarne spodnie i ciemnofioletowy żakiet przetykany seledynową, lśniąca nicią idealnie spełniają swoją rolę - klasyczny krój sprawiał, że wyglądała poważnie, a oryginalne zestawienie kolorów sugerowało artystyczną fantazję. Tym razem jednak wolałaby mieć na sobie coś... choć w połowę tak eleganckiego, jak bordowy strój majordomusa zdobiony złotym haftem. Cóż - po raz pierwszy stawiała się na rozmowę kwalifikacyjną w pałacu, a jej potencjalny pracodawca był księciem niezawisłego, europejskiego państewka.

Bezwiednie przesunęła palcami po broszce w kształcie pawiego pióra, która spinała poły jej zakietu, i potrząsnęła głową, odpędzając idiotyczną treść. Co z tego, że książę Montéz pochodził w prostej linii od rzymskich cesarzy i mieszkał w pałacu jak z bajki, którego strzegły poszarpane górskie szczyty, a u stóp rozpościerał się bezkres szafirowego morza? Cally nie miała obowiązku traktować go inaczej niż starego wiejskiego proboszcza, który był jej poprzednim zleceniodawcą. Oczekiwała też, że jak każdy potencjalny klient książę będzie zainteresowany jej zawodowymi umiejętnościami, a nie faktem, że strój, który miała na sobie, skompletowała w ciuchlandzie.

- Jesteśmy na miejscu, panno Greenway. - Majordomus otworzył wielkie, mahoniowe drzwi. - Książę oczekuje pani.

Cally z trudem oderwała wzrok od mosiężnych okuć na skrzydle drzwi, układających się w zawiły wzór, zdradzający wyraźne wpływy sztuki arabskiej. Teraz nie było czasu na podziwianie wszystkich zachwycających detali wystroju pałacu. Odetchnęła głęboko, nakazując sobie spokój, mocniej przycisnęła do piersi portfolio zawierające fotograficzną dokumentację jej prac i przestąpiła przez próg, by stanąć przed obliczem księcia.

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegła po wejściu do gabinetu, był obraz wyeksponowany na ustawionych pośrodku pomieszczenia sztalugach. Drgnęła silnie, omal nie wypuszczając teczek z rąk. Spomiędzy bezwiednie rozchylonych warg wyrwało jej się ciche westchnienie. Zrobiła jeszcze jeden, niepewny krok, i zamarła, wpatrzona w dyptyk Rénarada, którego nie miała nadziei zobaczyć przez bardzo długi czas. *Miłość ku morzu* była blisko, na wyciągnięcie ręki. Cally nie miała wątpliwości, że patrzy na oryginał... serce zaczęło szybko, gwałtownie uderzać w jej piersi. Nie umiała nazwać emocji, która ścisnęła ją za gardło. Czy było to podekscytowanie, które wzbudziła nagle, szalona nadzieja, że została wezwana, by odrestaurować słynne płótno Rénarada?

Cally, wciąż wpatrzona w *Miłość ku morzu*, postąpiła kolejny krok w stronę sztalug. Przepełniało ją wzruszenie... a może raczej zgroza? Oto miała przed oczami jedno z najpiękniejszych arcydzieł w dorobku ludzkości, które jakiś zadufany w sobie bogacz postanowił dla własnej rozrywki zamknąć w murach pałacu. Uważała takie postępowanie za zbrodnię i nie wiedziała, czy będzie w stanie biernie mu się przyglądać.

- Znajomy widok?

Niski głos z francuskim akcentem, który na zawsze wrył się w jej pamięć, rozbrzmiał tuż za jej plecami.

Leon?

Nie wierząc własnym uszom, obróciła się gwałtownie i stanęła oko w oko... z księciem.

Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała - wysoki, postawny, o kształtnej, dumnie uniesionej głowie i pięknym, rzymskim profilu. W jego oczach migotało rozbawienie, gdy czekał, aż Cally otrząśnie się z szoku.

Jej umysł miotał się bezradnie jak zwierzę schwyte w potrzask. Przez moment prawie uwierzyła, że Leon został tu wezwany przez księcia, by wziąć udział w rozmowie kwalifikacyjnej. Na aukcji reprezentował przecież uniwersytet, mówił, że pochodzi z Francji... Jeśli był naukowcem, mógł zostać poproszony o konsultacje dotyczące metod konserwacji obrazu.

W następnej chwili zrozumiała jednak, że sama siebie oszukuje. Prawda była aż nadto oczywista - w gabinecie, który wyglądał jak niewielka sala tronowa, ze ścianami wyłożonymi misternie rzeźbioną boazerią, nie było nikogo poza nimi dwojgiem. Zresztą, wystarczyło jej jedno spojrzenie na strój Leona, żeby rozwiały się ostatnie wątpliwości. Ciemnogranatowy garnitur ozdabiała biegnąca w poprzek marynarki szeroka, błękitno-biało-zielona szarfa spięta na piersi srebrną gwiazdą. Cally domyśliła się bez trudu, że widzi narodowe barwy Montéz zdobiące pierś władcy wyspy.

Wzrokiem pełnym niedowierzania spojrzała na mężczyznę, który w Londynie najpierw flirtował z nią, robiąc wszystko, by rozpałcić jej zmysły, a gdy straciła dla niego głowę, zimno i bezlitośnie ją odrzucił. Czy naprawdę nazywał się Leon? Czy też zmyślił to imię, podobnie jak inne rzeczy, które jej o sobie powiedział?

Poczuła cień satysfakcji na myśl, że instynkt nie mylił jej co do niego. Był utytułowany i nieprzyzwoicie bogaty, tak jak przeczuwała. Prawdopodobnie święcie wierzył, że uprzywilejowana pozycja daje mu prawo do tego, by okłamywać i traktować instrumentalnie zwykłych śmiertelników, takich jak ona. Szkoda, że była na tyle naiwna, by

gładko przełknąć wszystkie kłamstwa, które jej wcisnął. Reprezentował uniwersytet, dobre sobie!

- Ty draniu - powiedziała cicho, posyłając mu spod zmrużonych powiek płonące gniewem spojrzenie.

Przez chwilę, krótką jak mgnienie, jego uśmiech przygasł, a w oczach pojawił się groźny cień.

- Już raz mnie tak nazwałaś - powiedział z absolutnym spokojem. - Nie sądzisz, że wobec potencjalnego zleceniodawcy powinnaś być grzeczniejsza? Rozpoczynanie rozmowy kwalifikacyjnej od wyzwisk jest raczej mało profesjonalnym zachowaniem.

Ona miała być dla niego grzeczna?! Cally poczuła, że narasta w niej bunt.

- Niestety, grzeczność wobec takiej kreatury, jak Wasza Wysokość, nie leży w zasięgu moich możliwości - wysyczała. - Wobec tego chyba najlepiej zrobię, jeśli niezwłocznie opuszczę te gościnne progi.

Tęskne spojrzenie, jakie rzuciła *Miłości ku morzu*, osłabiło nieco buńczuczny ton jej wypowiedzi.

- Spieszysz się dokądś? - Uśmiechnął się ironicznie, unosząc brwi. - W Londynie też się spieszyłaś. Bardzo zajęta z ciebie osóbką.

Zacisnęła pięści w bezsilnej złości. A więc mości ksiązę założył, że ona nie ma absolutnie nic lepszego do roboty, niż wykonywać jego polecenia. Posłusznie stawiając się na otrzymane wezwanie, potwierdziła tylko to przypuszczenie. Frustracja wezbrała w niej niczym kipiący ukrop. Poczula, że nie może tu zostać ani chwili dłużej - większa dawka upokorzenia z całą pewnością byłaby niebezpieczna dla jej zdrowia.

- Nie, tak się składa, że donikąd się nie spieszę. - Rozciągnęła wargi w uśmiechu, który nie miał w sobie ani odrobiny ciepła. - Ale wolałabym być w każdym innym miejscu globu niż na tej zapomnianej przez Boga i ludzi wysepce, w towarzystwie zdeprawowanego arystokraty, który uważa, że wolno mu bezkarnie uwodzić naiwne Brytyjki, udając francuskiego wykładowcę!

- Chciałaś powiedzieć: naiwną Brytyjkę - poprawił ją. - Na tym świecie z całą pewnością istnieje tylko jedna Cally Greenway.

- To prawda, natomiast książąt istnieją na tym świecie całe setki. W każdym pałacu urzęduje jeden zadufek twojego pokroju. Wszyscy jesteście do siebie tak podobni, że to aż nudne. Uważacie, że wszystko jest waszą własnością, nawet prawda. I możecie przeinaczać ją, jak wam się żywnie podoba. Żegnam - wycedziła i z wysoko uniesioną głową odwróciła się ku wyjściu.

Jednak jej wzrok, sam, bez udziału woli, powędrował ku płótnu Rénarda. Zatrzymała się, niezdolna zrobić kroku. Nie potrafiła odejść.

- Chwileczkę. - Leon zastąpił jej drogę. - Dlaczego nazywasz mnie kłamcą? Powiedziałem ci przecież, jak mi na imię, a ty nie spytałaś o nazwisko. Zresztą, swojego też mi nie podałaś. Powiedziałem, że przyjechałem do Londynu reprezentować mój uniwersytet, bo tak właśnie było. Nowy Uniwersytet Montéz, ufundowany przeze mnie przed rokiem, rozwija się bardzo dynamicznie. Chciałem podarować wydziałowi historii sztuki kilka płócien, a ponieważ protokół wymagał, bym zachował incognito, zakupów dokonywał w moim imieniu pełnomocnik. Dlatego nie miałaś okazji się przekonać, jak wygląda mój stan majątkowy, i założyłaś, że jestem skromnym wykładowcą... A może masz słabość do ludzi nauki, przyznaj się, Cally?

Nie dosłyszała pytania. Okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w słynny dyptyk Rénarda.

- Kupiłeś *Miłość ku morzu* dla uniwersytetu?

Jeśli istotnie tak postąpił, musiałyby odszczekać wszystkie inwektywy, którymi obсыpywała go w myślach.

- Zamierzasz odrestaurować obraz, a potem uczynić z niego darowiznę?

- Z chęcią omówiłbym z tobą moje plany w najdrobniejszych szczegółach. - Leon skrzyżował ramiona na piersi. - Obawiam się jednak, że teraz nie zdążę. Właśnie dostałem wiadomość, że muszę się pilnie spotkać z rektorem uniwersytetu. Jestem przekonany, że profesor Lefevre przypadłby ci do gustu, skoro masz słabość do wykładowców... ale niestety, kwestie, które będziemy poruszać, wymagają spotkania w cztery oczy. Pozwolisz, że do naszej rozmowy wrócimy jutro podczas śniadania?

Cally otworzyła usta, ale nie była w stanie powiedzieć ani słowa.

- Podczas śniadania? - wyjąkała wreszcie.

- Tak. Śniadanie, to taki posiłek, który niektórzy ludzie mają zwyczaj jadać rano - wyjaśnił cierpliwie.

- Nie rozumiem. - Głos trząśł jej się z oburzenia. - Wezwałeś mnie na rozmowę kwalifikacyjną, która miała się odbyć dzisiaj. Wieczorem planowałam wrócić do Cambridge...

- ...ale ponieważ nie masz tam nic ciekawego do roboty, równie dobrze możesz zostać do jutra na Montéz - wpadł jej w słowo.

- Mylisz się. - Zdecydowanie pokręciła głową. - Wyjeżdżam dziś, dokładnie tak, jak zaplanowałam. Jeśli nie masz dla mnie czasu, cóż, twoja strata.

- A więc zamierzasz tak po prostu przekreślić szansę na przełom w karierze? - Przyjrzał jej się uważnie, jakby obserwował ciekawy przypadek aberracji umysłowej. - Odrzucisz zlecenie, które wreszcie jest na poziomie twoich kwalifikacji i może przynieść ci światową renomę?

Cally popatrzyła ponuro na Leona, a potem jej wzrok znów powędrował ku oświetlonemu pojedynczym reflektorem arcydziełu. Przeszła z nogi na nogę. W głowie miała mętlik.

Nad czym w ogóle się zastanawiała? Nie mogła przecież poważnie rozważać przyjęcia zlecenia od człowieka, który tak bardzo ją upokorzył. A jednak... nie potrafiła obrócić się plecami do *Miłości ku morzu* i wrócić do swojego szarego życia.

- Czy jeśli zostanę... na śniadaniu, będziemy mogli porozmawiać o tym, w jaki sposób chciałabym przeprowadzić proces konserwacji obrazu? - spytała niepewnie.

- Porozmawiać? Oczywiście, tak.

Cally nakazała sobie zapomnieć o urażonej dumie. Jeśli ceną spełnienia marzeń, którymi żyła od lat, było tolerowanie towarzystwa aroganckiego, utytułowanego bubka, mogła się przecież do tego zmusić. Miała tylko nadzieję, że stać ją również na wynajęcie pokoju hotelowego na najbliższą noc.

- O której godzinie mam wrócić rano do pałacu? - spytała, przywołując na twarz wyraz profesjonalnego zaangażowania.

- Ależ w ogóle nie musisz opuszczać pałacu. Boyet zaprowadzi cię do apartamentu, który dla ciebie przygotowaliśmy, i poda ci kolację. - Księżę władczym gestem skinął w stronę drzwi, w których natychmiast pojawił się czekający w pogotowiu majordomus.

Sytuacja zupełnie wymknęła się Cally spod kontroli. Bezradnie szukała słów, niepewna, czy powinna dziękować Leonowi za gościnę, czy raczej protestować przeciwko temu, że znów o wszystkim zdecydował, nie pytając jej o zdanie.

Nie zdążyła zastanowić się, co chce powiedzieć, bo księżę energicznym krokiem wyszedł z gabinetu, zostawiając ją sam na sam z obrazem, o którym śniła od lat. Marzenie życia miała na wyciągnięcie ręki. Nie wiedziała tylko, czy sięgając po nie, nie popełni życiowego błędu.

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cally odszukała po omacku telefon, który położyła na nocnym stoliku, zanim się umościła w idealnie wygodnym łóżu z baldachimem, i zgasiła światło. Kiedy uaktywniła ekran, błada poświata rozblęśla w wysokim, mrocznym wnętrzu pałacowej komnaty.

Dochodziła trzecia nad ranem, a ona wciąż jeszcze nie spała.

Próbowała już chyba wszystkiego. Układała się na plecach, na brzuchu i na obu bokach. Liczyła do tysiąca na wspan. Kiedy zamknęła okno, martwa cisza panująca w grubych, kamiennych murach przytłaczała ją, nie pozwalając zapaść w sen. Kiedy zaś je otworzyła, szum fal uderzających o skały leniwym, rozkołysanym rytmem, przypominał jej o tym, że znajduje się setki kilometrów od swojego małego mieszkania w Cambridge. Im dłużej leżała bezsennie, tym więcej myśli kłębiło jej się w głowie.

Księżę Montéz.

Kiedy postanowiła skorzystać z dziwnego zaproszenia na rozmowę kwalifikacyjną, nie mogła przecież przypuszczać, że los zadrwi z niej, stawiając ją przed obliczem... Jego Wysokości Leona.

Czy na pewno nie mogła? Leżąc bezsennie, wciąż miała przed oczami twarz Leona, piękną i męską, o szlachetnych rysach i egzotycznych oczach o barwie oceanu. Przypominała sobie mgliście, że widziała już kiedyś, gdzieś, kogoś bardzo podobnego... Oczywiście. Parę lat temu fotografie ze ślubu Girarda, księcia Montéz, dosłownie zalały prasę. Później wzmianki o bujnym życiu towarzyskim księżęcej pary pojawiały się regularnie aż do dnia, kiedy świat obiegła wiadomość o tragicznej śmierci księcia. Gazety informowały, że tron wyspy objął młodszy brat Girarda. Cally nie pamiętała, by podawano jego imię lub publikowano fotografię, ale uświadomiła sobie, że podobieństwo Girarda do Leona było wprost uderzające. Gdyby wcześniej skojarzyła te fakty, księżę Montéz nie miałby okazji zabawić się jej kosztem.

Cally skuliła się i naciągnęła kołdrę na głowę. Sama nie wiedziała, dlaczego nagle ogarnął ją smutek. Chyba... współczuła Leonowi, który musiał przejąć obowiązki głowy państwa w chwili, gdy był pogrążony w żałobie po bracie. To musiało być dla niego bardzo ciężkie doświadczenie.

W następnej chwili, z niecierpliwym westchnieniem, wynurzyła się spod kołdry niczym nurek na powierzchnię wody. Nie było powodu, żeby się roztkliwiać nad smutnym losem Leona. Ten człowiek nie miał serca. Był postawny, dumny i niewiarygodnie piękny, ale... pusty i zimny. I nawet nie usiłował tego ukrywać.

Prawdopodobnie Leon ubzdurał sobie, że udzielając Cally gościny w swoim pałacu, olśni ją i sprawi, że poczuje się jego dłużniczką. Rzeczywiście, komnata, którą oddano do jej dyspozycji, była wspaniała. Cally nie mogła sobie jednak pozwolić na to, by zaciągnąć wobec Leona jeszcze większy dług. Musiała zachować minimum niezależności, tak nakazywał honor. Dlatego, choć było jej słabo z głodu, podziękowała Boyetowi za kolację, i dotrwała do wieczora, jedząc po maleńkim kawałeczku baton muesli, który jakimś cudem znalazła w torebce. Siedząc po turecku na nagrzanym po słonecznym dniu, kamiennej posadzce krużganka, wystawiała twarz na ostatnie promienie słońca chylącego się ku zachodowi nad szmaragdowym horyzontem i, wsłuchana w szum morza, przeglądała notatki dotyczące metod konserwacji płócien Rénarda, które przygotowała sobie jeszcze przed rozmową kwalifikacyjną w London City Gallery. Kiedy zmierzch zgasił złocistą lunę, a ciemniejąca kopuła nieba zaroїła się tysiącem gwiazd, postanowiła udać się na spoczynek. Wzięła prysznic w przylegającej do sypialni przestronnej łazience, używając jedynie zwykłego mydła, choć na marmurowej toaletce zostawiono do jej dyspozycji całą baterię luksusowych kosmetyków, tak kosztownych, że nie byłoby jej stać nawet na najmniejszą buteleczkę. Teraz, leżąc bezsennie w ıście królewskim łozu pod białym, koronkowym baldachimem, zastanawiała się, co nie pozwala jej zmrużyć oczu - trema przed czekającą ją rano rozmową czy poczucie, że niespodziewanie przeniosła się do świata, który, choć urzekająco piękny, jest jej całkowicie obcy?

- Wyglądasz okropnie. Czy w ogóle spałaś tej nocy?

Cally starała się nie mrużyć oczu, choć blask porannego słońca potęgował niemiłe poczucie, że są one pełne piasku. Kiedy zbliżyła się ku zastawionemu do śniadania, okrągłemu stolikowi z artystycznie giętego żeliwa, Leon wstał na jej powitanie, odkładając na bok wielką płachtę „Le Monde”.

W przeciwieństwie do niej on prezentował się wspaniale. Nieskazitelnie biała Iniana koszula rozchylała się na piersi, ukazując z pewnością o wiele więcej opalonej na brąz

skóry, niż dopuszczał to protokół. Większość mężczyzn w tak niedbałym stroju wyglądałaby niechlujnie i odpychająco, ale księżę Montéz prezentował się po prostu bosko. Facet o jego urodzie wyświadczał dobrodziejstwo bliźnim płci żeńskiej, nie dopinając guzików koszuli, pomyślała Cally, zmuszając się, żeby oderwać wzrok od jego torsu.

Jego uwaga na temat jej wyglądu zaboląła. Zupełnie nieracjonalna reakcja - powinna się przecież cieszyć, że Leon raz na zawsze porzucił zamiar flirtowania z nią. Cóż, z całą pewnością nie prezentowała się tak jak kobiety, z którymi mości księżę zwykł jadać śniadania na pałacowym dziedzińcu, przy fontannie. Mogła się założyć, że żadna z jej poprzedniczek nie odważyłaby się pojawić przed jego obliczem bez perfekcyjnego makijażu i kunsztownej fryzury. Nagle przed jej oczami stanęła Portia tamtego ranka, w drzwiach sypialni Dawida, z ogromnym różowym brylantem lśniącem na serdecznym palcu... Odpędziła gorzkie wspomnienie. Dobrze chociaż, że poprzedniego wieczoru miała tyle przytomności umysłu, żeby uprać sobie bieliznę i błękitny top. Dzięki temu czuła się czysto i świeżo. Niestety, za cały makijaż musiał jej wystarczyć bezbarwny błyszczący, którym pociągnęła wargi, a fryzurę uzyskała, przeczesując grzebieniem wilgotne po prysznicu włosy.

- Może o tym nie wiesz, ale kobiety właśnie tak wyglądają, kiedy nie są umalowane. - Zmusiła się do uśmiechu.

- Kobieta o twojej urodzie nie potrzebuje makijażu - odparł rzeczowo, nie odrywając uważnego spojrzenia od jej twarzy. - Pytałem, czy spałaś, bo wyglądasz na wyczerpaną.

Nie spodziewała się, że usłyszy od niego komplement. Nastawiona raczej na obronę przed jego złośliwościami, zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

- Rzeczywiście, spałam kiepsko - wyznała szczerze. - Nie czuję się swobodnie, przebywając pod twoim dachem.

- Lecz mimo to wciąż tu jesteś - zauważył.

Nie wydawał się ani trochę urażony tym, co powiedziała.

- Jestem ze względu na sprawy zawodowe - odparła. - Myślę, że najwyższy czas, byśmy omówili szczegóły. Proszę, tutaj jest moje portfolio i życiorys...

- Zaraz, chwileczkę - przerwał jej, krzywiąc się niecierpliwie, jakby zawracała mu głowę nieistotnymi szczegółami. - Najpierw musisz się posilić. Kawy?

Kiedy wskazał jej krzesło, usiadła z wahaniem. Duma podpowiadała, że powinna podziękować za śniadanie, wymawiając się brakiem apetytu. Jednak instynkt samozachowawczy postawił zdecydowane weto. Aromat świeżo zaparzonej kawy doprowadzał ją do szaleństwa, a jeszcze ciepłe bułeczki z rodzynkami, nadziewane konfiturą z płatków dzikiej róży stanowiły pokusę, której nie potrafiła się oprzeć. Postanowiła, że pozwoli sobie na mały łyk kawy, i kęs pieczywa. Ostatecznie, od prawie doby nie miała nic w ustach... a gdyby zasłabła z wycieńczenia podczas rozmowy kwalifikacyjnej, książe Leon uznałby to z pewnością za nieprofesjonalne zachowanie!

Leon nie mógł oderwać wzroku od Cally. Usiadła przy stole z godnością, nawet z lekkim ociąganiem, ale jej delikatne nozdrza zadrgały, kiedy podniósł pokrywkę dzbanka i nalał jej pełną filiżankę parującej kawy. Drżącą z niecierpliwości ręką sięgnęła po bułeczkę, oderwała kawałek i włożyła go sobie do ust szybkim, łapczywym ruchem. Po chwili na jej twarzy odmalowała się błogość. Chyba nigdy nie miał przed oczami bardziej podniecającego widoku niż Cally impulsywnie i z widoczną przyjemnością zaspokajająca głód. Kiedy przełknęła łyk kawy, jej usta, delikatne jak pąki damasceńskich róż, rozchyliły się w uśmiechu zadowolenia. Zaraz jednak zacisnęła wargi, przywołując na twarz wyraz powagi i lekkiego zniecierpliwienia.

- Wiesz co? - Popatrzył na nią z rozbawieniem. - Jeszcze nigdy żadna kobieta, która jadła ze mną śniadanie na tym dziedzińcu, nie starała się tak bardzo, żeby wyglądać na nieszczęśliwą.

- Och, emocje nie mają przecież znaczenia. - Cally wgryzła się w delikatny miąższ bułeczki i podsunęła Leonowi portfolio. - Może przejdziemy do rzeczy?

Niespiesznie otworzył teczkę i wyjął jej życiorys. Widziała, jak przebiega oczami linijki tekstu, swobodnie odchylony na oparcie rattanowego fotela, raz po raz popijając kawę.

- Część teoretyczna mojej pracy doktorskiej dotyczyła technik malarskich rozwiniętych i udoskonalonych przez Rénarda - powiedziała szybko. Nie dość szybko.

- Widzę, że zaczęłaś studia na Akademii Sztuk Pięknych w Londynie, ale przerwałaś je. - Zmarszczył brwi.

Wiedziała, że wytknie jej tę skazę w życiorysie. Nie rozumiała tylko, dlaczego jego pytanie tak bardzo ją zestresowało - nie miała przecież powodu do wstydu.

- To prawda. Jednak przez kolejne dwa lata pracowałam na cały etat, jednocześnie ucząc się i doskonaląc techniki malarskie - wyrecytowała. - Poziom wiedzy i umiejętności pozwolił mi zdać zewnętrzny egzamin na wydział konserwacji malarstwa w Cambridge. Przyjęto mnie na semestr dyplomowy. Obroniłam dyplom w terminie. Na tej samej uczelni zrobiłam doktorat.

- To wszystko jest wyszczególnione w życiorysie. Nie wyjaśnia on natomiast, co spowodowało, że odeszłaś ze studiów. - Zamilkł na chwilę i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. - Nieszczęśliwa miłość do jednego z wykładowców?

- Chyba nie przyjechałam tu po to, żeby dyskutować o moim życiu osobistym. - Głos Cally stracił profesjonalną obojętność.

Zesztywniała i lekko odsunęła się od stołu, a jakiś głęboki cień na chwilę zgasił blask jej oczu. Leon nie potrzebował innych dowodów na to, że trafił w czuły punkt. Kuśiło go, żeby zadać jej jeszcze parę niedyskretnych pytań, ale sama myśl, że jakiś stary cap mógł patrzeć z bliska w te jej cudowne oczy, dotykać jasnej, jedwabistej skóry i całować słodkie, wrażliwe usta, sprawiła, że gwałtowny atak gniewu pozbawił go tchu. Chwycił filiżankę i jednym haustem opróżnił ją do dna, ale nie udało mu się ugasić narastającej w nim furii. Dziwna reakcja, której nie mógł zrozumieć. Z zasady przecież do spraw seksu podchodził bardzo praktycznie. Nie miał najmniejszego zamiaru wiązać się na stałe z żadną kobietą i zawsze stawiał sprawę uczciwie. Umawiał się wyłącznie z paniami, które podzielały jego punkt widzenia. W ramionach kochanek szukał odprężenia i dobrej zabawy; ich miłosna przeszłość obchodziła go tyle co zeszłoroczny śnieg. Dlatego więc czuł się wściekle zazdrosny o kobietę, z którą nie łączyło go absolutnie nic?

- Wiesz, jestem zdania, że decyzje, które człowiek podejmuje w życiu osobistym, wiele mówią o tym, jakim się okaże pracownikiem - powiedział powoli, nie spuszczać z niej wzroku.

Kiedy znaczenie jego słów dotarło do niej, nagle doznała olśnienia. A więc o to mu chodziło w Londynie. Poczwała, że pod ciemnym żakietem robi jej się nieznośnie gorąco. Leon już wtedy ją sprawdzał. Dyptyk Rénarda należał już do niego, musiał tylko wybrać konserwatora. Leon nie flirtował z nią, tylko przeprowadzał eksperyment. Chciał się przekonać, czy doktor Cally Greenway jest godna tego, by ją zatrudnić. A ona tak łatwo dała się omotać! Ten jeden jedyny raz w życiu postąpiła niezgodnie ze swoimi zasadami. Woliała nie myśleć, do jakich wniosków na jej temat doszedł, kiedy w tym przekłętym barze zachowała się jak kompletna idiotka.

Nie miała jednak zamiaru pokazać po sobie, że umiera ze wstydu. W jej wzroku był chłód, kiedy śmiało odpowiedziała na jego spojrzenie.

- Czy zastanawiałeś się już kiedyś nad tym, w jaki sposób twoje postępowanie świadczy o tobie, mości książę?

Przez chwilę przyglądał jej się bez słowa. Była zachwycająca. Gdy zrozumiała, co sugerował, jej policzki pokrył wyraźny rumieniec wstydu. Jednak wystarczyła chwila, żeby wzięła się w garść. Kiedy znów na niego spojrzała, jej oczy ciskały lodowate błyskawice gniewu.

Jego Nimué. Zbyt groźna, by grać z nią w otwarte karty.

- Ponieważ tak się składa, że obraz Rénarda, jak również decyzja, komu zlecić jego konserwację, należy do mnie, nie sądzę, by rozmowa o moim postępowaniu miała jakikolwiek sens. A wracając do twojego...

- Nie rozumiem, w jakim celu mnie wezwales - przerwała mu. Z trudem się powstrzymywała, żeby nie krzyknąć. - Opłaciłeś moją podróż na Montéz tylko po to, żeby móc mi powiedzieć prosto w oczy, że szansa na zlecenie przeszła mi koło nosa, bo oblałam twój żalosny test osobowości? Czy ta satysfakcja jest warta wydanych pieniędzy?

- Nie unos się, moja droga. I nie wyciągaj pochopnych wniosków. - Jego głos był cichy, dobitny. - Co prawda w Londynie miałem okazję się przekonać, że jesteś niesłowna oraz że interesuje cię wyłącznie rozgłos i pieniądze, jakie możesz uzyskać, wykonując konserwację tak słynnego obrazu jak *Miłość ku morzu*... - zawiesił głos. Cally siedziała zupełnie nieruchomo, blednąc coraz bardziej, jakby jego słowa mroziły jej krew w żyłach. - ...jednak mimo poszukiwań, nie udało mi się znaleźć nikogo, kto miałby lepsze

kwalifikacje do wykonania tego zlecenia. Dlatego, choć nie jest to idealne rozwiązanie, postanowiłem cię zatrudnić. Stawiam jednak jeden warunek: pracując dla mnie, nie zyskasz rozgłosu. Oczywiście, będziesz mogła zamieścić w swoim portfolio pełną dokumentację wykonanej konserwacji, ale to wszystko. Nie będzie prasy, wywiadów dla telewizji ani publicznych wystąpień. Takie zasady obowiązują w tym miejscu.

- Wspomniałeś wczoraj, że zamierzasz podarować *Miłość ku morzu* tutejszej szkole wyższej. - Cally z trudem wydobyła z siebie głos, który zabrzmiał obco w jej własnych uszach. - Mogę cię zapewnić, że nie będę dążyła do żadnego rozgłosu, ale nie biorę odpowiedzialności za to, co zrobią władze uczelni.

Leon poczuł, że ogarnia go furia. Gwałtownym gestem wsunął dłoń we włosy i zacisnął palce na kosmykach. Z trudem się powstrzymał, żeby nie szarpnąć, dając ujście frustracji. Książęta nie powinni wyrywać sobie włosów z głowy, nawet w rozmowie z kimś, kogo wyrachowanie przekracza wszelkie granice. Mógł się spodziewać, że Cally będzie dążyć do tego, żeby uzyskać maksymalną korzyść, unikając konsekwencji. Cóż, czekało ją rozczarowanie.

- Musiałaś coś źle zrozumieć - uśmiechnął się zimno. - Dyptyk Rénarda kupiłem do mojej własnej, prywatnej kolekcji. Uniwersytet Montéz otrzymał płótno Goi, które na szczęście nie wymaga zabiegów konserwatorskich.

Cally zerwała się z miejsca.

- Ty barbarzyńco! Uważasz *Miłość ku morzu* za łup, na którym położyłeś łapę, a teraz możesz zawlec do swojej twierdzy i zamknąć w skarbcu?

Kiedy nie odpowiedział, posłała mu spojrzenie pełne pogardy.

- W dodatku znów mnie okłamałeś. Nie możesz się powstrzymać przed mówieniem nieprawdy? Taką przypadłość się leczy.

- Nie okłamałem cię. - Pokręcił głową, wyraźnie zniecierpliwiony. - Po prostu nie podałem ci wszystkich informacji. Zresztą, czy przeznaczenie *Miłości ku morzu* nie powinno ci być obojętne? W Londynie twierdziłaś, że jeśli by ci proponowano pracę nad dyptykiem, nic by cię nie powstrzymało przed przyjęciem zlecenia, nawet twoje uprzedzenia wobec zdegenerowanych arystokratów. Chyba że...

- Chyba że co?

- Że zamierzasz zmienić zdanie, jak to masz w zwyczaju. - Zaakcentował ostatnie słowa pełnym dezaprobaty grymasem.

Nie spuściła wzroku. Nie miała się czego wstydzić. Na pewno nie wobec niego - człowieka, który traktował innych jak króliki doświadczalne, bez skrpułów oszukiwał i zwodził, grając na emocjach. W dodatku był na tyle arogancki, że uważał, że pieniądze dają mu prawo do tego, by pozbawić ludzkość możliwości podziwiania arcydzieła, które przecież stanowiło część kulturowego dziedzictwa. Powinna odejść. Obrócić się na pięcie i nie zaszczyścić księcia Leona ani jednym więcej spojrzeniem. Jednak... nie chciała dać mu pretekstu, by mógł jej wytknąć, że rzuca słowa na wiatr. A może po prostu nie była dość twarda, żeby zostawić za sobą *Miłość ku morzu* i wrócić na swoje ciasne poddasze, gdzie na stole kurzył się stos niezapłaconych rachunków?

- Czy życzysz sobie, żebym niezwłocznie przystąpiła do pracy? - spytała rzeczowym tonem.

Wyglądało na to, że rozmowa kwalifikacyjna dobiegła końca. Leon nie zadał jej ani jednego merytorycznego pytania. Chyba tylko po to ją wezwał, żeby dać jej do zrozumienia, jak nisko ją ceni.

- Owszem, jeśli najpierw podpiszesz umowę, która zawiera warunek, że jeśli złamiesz zasadę dotyczącą poufności, natychmiast stracisz zlecenie.

- Ależ naturalnie. Nie widzę powodu, dla którego miałabym nie podpisać takiej umowy.

- Wobec tego możesz zacząć jeszcze dzisiaj.

Świetnie. Cally uśmiechnęła się z zadowoleniem. Nadszedł czas, żeby ona postawiła kilka warunków.

- Z przyjemnością. Muszę jednak poprosić cię o zaliczkę na poczet honorarium. Będę potrzebowała wynająć sobie jakiś pokój w mieście i...

- Wynająć pokój? - zdumiał się. - Po co? Jak z pewnością zauważyłaś, w pałacu jest pomieszczeń pod dostatkiem. Większość z nich stoi pusta.

- To prawda, jednak uważam, że moja obecność w pałacu byłaby... niewłaściwa.

- Niewłaściwa? - powtórzył, szczerze rozbawiony. - Gdyby coś między nami zaszło, *ma belle*, wtedy byłbym w stanie zrozumieć twój punkt widzenia. Ale ponieważ w Londynie zdecydowanie dałaś mi kosza...

- W porządku - wpadła mu w słowo. - Skoro mam mieszkać i pracować tutaj, będę potrzebowała materiałów i sprzętu. A także rzeczy osobistych. Ponieważ nie planowałam dłuższego pobytu, nie wzięłam nawet ubrań na zmianę. Z pewnością zgodzisz się ze mną, że będę potrzebować ubrań?

Ugryzła się w język, ale o sekundę za późno. Zobaczyła błysk w oczach Leona i już wiedziała, że się podłożyła.

- Czas pokaże, czy będziesz ich potrzebować, Cally.

Wypowiedział jej imię przeciągle, niskim, aksamitnym głosem, który przywiódł jej na myśl łyk gorącej czekolady.

- Jednak o nic nie musisz się martwić - dodał po chwili. - Wszystko, czego mogłabyś potrzebować, zostanie dostarczone z Paryża, łącznie z nową garderobą.

- Nie potrzebuję nowej garderoby! - zachnęła się.

Zmierzył rozbawionym spojrzeniem jej strój, skompletowany w lumpeksie.

- Ależ potrzebujesz. A tymczasem - kontynuował, ignorując jej pełen oburzenia okrzyk - z pewnością nie możesz się doczekać, kiedy wreszcie będziesz mogła zacząć wstępną diagnozę płócien. Zrób listę materiałów, których będziesz potrzebować przy konserwacji. Boyet zorganizuje dostawę. Och, i jeszcze jedno. Zdejmij ten żakiet. Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę zemdleć.

- Pewnie jesteś przyzwyczajony do tego, że kobiety mdleją na twój widok, ale zapewniam cię, że o mnie nie musisz się martwić. Twoje towarzystwo wywołuje u mnie raczej zimne dreszcze - odcięła się.

- Doprawdy? - Leon powoli przesunął wzrokiem po jej twarzy. - Jeśli tak wyglądasz, kiedy masz zimne dreszcze, to nie mogę się doczekać, co będzie, gdy się trochę rozgrzejesz.

Posłał jej zabójczy uśmiech, wstał od stołu i energicznym krokiem ruszył ku uchylonym drzwiom prowadzącym do holu.

- Będziesz się musiał uzbroić w cierpliwość - krzyknęła za nim.

- Nie sędę - spojrzal na nią przez ramię, szczerze rozbawiony - żeby cierpliwość była naprawdę niezbędna. Czyż nie mam racji, Cally?

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Czy mam zanieść te rzeczy do pani pokoju, panno Greenway?

Cally, która właśnie zeszła do holu zwabiona zapachem porannej kawy, zamrugła ze zdumienia na widok Boyeta obładowanego niewiarygodną liczbą toreb, pudeł i pudełeczek.

- Ale... co to jest?

- Pani nowa garderoba. Prosto z Paryża.

Okrągłymi oczami patrzyła na kolorowe opakowania i torby z nazwami najdroższych sklepów. Niechciane wspomnienie podobnej obfitości, którą widziała w pewne święta Bożego Narodzenia pod designersko ustrojoną, sztywną choinką w salonie Davida, przeszło ją nagłym bólem. Zbyt dobrze pamiętała jego wzrok pełen rozbawionego protekcjonalizmu, którym obrzucił skromne wnętrze i drzewko przybrane zabawkami z kolorowego papieru, kiedy zaprosiła go na świąteczny obiad do swoich rodziców. Dlaczego te obrazy wciąż ją prześladowały?

Biorąc się w garść, obdarzyła Boyeta najcieplejszym uśmiechem, na jaki było ją stać. Majordomus po prostu tu pracował, nie było powodu, żeby wyładowywać na nim swoje osobiste frustracje.

- Och, jest tego tyle, że na pewno znajdę jakiś strój, który nadaje się do pracy - powiedziała lekko. - Proszę mi dać część tych toreb. Nie będzie pan przecież wszystkiego dźwigał sam!

Ignorując gwałtowne protesty starszego pana, wzięła od niego naręczne pudeł i ruszyła po schodach do swojego pokoju. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy wreszcie zmieni ciemny strój, który nosiła już trzeci dzień, na ubranie bardziej pasujące do śródziemnomorskiego klimatu.

Piętnaście minut później, załamana, wpatrywała się w luksusowe ubrania, zaścielające barwną płataniną ogromne łoże. Były tam sukienki koktajlowe z ręcznie malowane-

go jedwabiu, cienkie bluzeczki zdobione koronką, kilka par lnianych spodni w różnych kolorach, tuniki haftowane w etniczne wzory... były też sandały na niebotycznym obcasie, trzy kostiumy kąpielowe uszyte z mikroskopijnych skrawków materiału i co najmniej dziesięć kompletów frymuśnej, niemożliwie seksownej i z pewnością absurdalnie drogiej bielizny. Absolutnie żadna z tych rzeczy nie nadawała się do tego, by ją włożyć do pracy, w której po kilku godzinach człowiek był od stóp do głów pochłapany rozpuszczalnikiem, werniksem i farbą.

Zestaw strojów zamówiony przez Leona byłby odpowiedni dla kobiety zajmującej w pałacu stanowisko księżęcej nałożnicy, ale nie dla kogoś, kto został zatrudniony, żeby wykonać ciężką pracę, przy której nie sposób było nie pobrudzić rąk. Cally przesunęła wzrokiem po przezroczystych, cienkich jak pajęczyna haleczkach, sznurowanych gorse-tach i uroczo staroświeckich majteczkach z falbankami i zacisnęła pięści. Ten wybór garderoby był po prostu obraźliwy. Wyraźnie świadczył o tym, jaką rolę Leon przypisuje kobietom, którymi się otacza. Nawet do głowy mu nie przyszło, że Cally będzie potrzebować ubrań do pracy, a nie tylko po to, by cieszyć jego oczy, paradując w kosztownych negliżach.

Niedoczekanie.

Spod bielizny wyciągnęła parę designerskich dżinsów, o nieprawdopodobnie wąskich nogawkach i kieszeniach ozdobionych aplikacjami z brylancików. Nie dostała ubrania roboczego? Cóż, najwyższa pora zmienić ten stan rzeczy.

Dwadzieścia minut później odłożyła na bok bardzo sfatygowane nożyczki do paznokci i rozmasowała obolałe palce. Operacja nie była łatwa, ale się udała - w jej wyniku Cally stała się właścicielką krótkich spodenek, odsłaniających kolana. Po kretyńskich brylancikach zdobiących kieszenie nie było śladu. Po chwili zbiegała już po schodach, boso, w swoich nowych spodenkach z postrzępionymi nogawkami. Stroju dopełniała biała tunika, od której odcięła szeroki dół i użyła go jako paska, związując poniżej piersi luźny materiał, żeby uzyskać coś w rodzaju fartucha. Czuła euforię zbuntowanej nastolatki, której udało się postawić na swoim. W wielkiej jadalni nie było już nikogo; na szczęście dzbanek z kawą wciąż stał na podgrzewaczu, a obok zostawiono specjalnie dla niej koszyk pełen chrupiących rogalików i dojrzałych brzoskwiń. W myślach pobłogo-

sławiła tę osobę spośród pałacowego personelu, która o niej pamiętała, chwyciła dzbanek, kubek i koszyk z prowiantem i pomknęła do pracowni.

Pomieszczenie, w którym umieszczono płótno Rénarda, znajdowało się w części pałacu położonej najbliżej morza. Było ze cztery razy większe niż pracownia, którą Cally wynajmowała w Cambridge, i prawie zupełnie puste. Jedna ze ścian została w całości przeszklona, dzięki czemu do wnętrza wpadały całe potoki słonecznego blasku. Żaden artysta nie mógłby sobie wymarzyć lepszego oświetlenia do pracy. Z westchnieniem zachwytu Cally podeszła do balkonowych drzwi. Za nimi kamienne schodki prowadziły na brzeg skalnego występu. Poniżej łagodnie falowało morze, szmaragdowe i bezkresne. Nagle poczuła się tak, jakby była na krańcu świata. Tylko ona i arcydzieło, do którego tęskniła od lat.

Ustawiła wysoki stółek naprzeciwko sztalug i usiadła na nim nieruchomo, z filiżanką kawy w ręku. Skupiła wzrok na obrazie, wyrównując oddech, próbując osiągnąć stan głębokiej koncentracji. Praca konserwatora wymagała skupienia i precyzji, wszelkie rozproszenia czyniły ją męczącą i nieefektywną. Tymczasem... Cally była bardziej rozkojarzona niż zwykle.

Może sprawił to fakt, że znajdowała się w obcym miejscu? Jej pracownia w Cambridge była ciasna, zagracona, a przez okna wpadał męczący uliczny hałas. Tutaj zaś... Cally przesunęła wzrokiem po nieskazitelnie białych ścianach pomieszczenia i podłodze z szerokich, ciemnych desek. Wzdłuż dwóch ścian biegły szerokie blaty, wciąż jeszcze zupełnie puste, a pod nimi znajdowały się przestronne szafki. Pod trzecią ścianą, naprzeciwko okna, ustawiono ogromną sofę przykrytą czerwoną narzutą i imponujący sprzęt audio.

Ciekawa, jaki też gust muzyczny mógł mieć książę pan, podeszła do smukłego, drewnianego stojaka na płyty. Ku jej zaskoczeniu obok muzyki poważnej i klasycznego jazzu było tam sporo albumów rockowych. Może zresztą nie powinna się dziwić - nie po spędzeniu z nim wieczoru w barze z rockową muzyką, gdzie czuł się jak ryba w wodzie. Zamyślona, przesunęła palcami po lśniących pudełkach, by wreszcie wybrać płytę z muzyką Gabriela Fauré. Miała nadzieję, że tęskny, tajemniczy śpiew fletu pomoże jej wyrzucić z głowy wszystkie myśli, które nie dotyczyły *Miłości ku morzu*.

Kiedy muzyka wypełniła pomieszczenie łagodną, chłodną falą, Cally wróciła na swoje miejsce przed obrazem. Najwyższy czas wziąć się do pracy.

- Najpierw zdjęcia - powiedziała do siebie i sięgnęła do torby po aparat i obiektyw do makrofotografii. Wieczorem, kiedy będzie już za ciemno, żeby pracować nad płótnem, usiądzie z laptopem i przeanalizuje zdjęcia uszkodzeń i spękań przy pomocy specjalnego programu. To pomoże jej upewnić się co do wyboru metody konserwacji.

- Widzę, że nie zapomniałaś o swoim portfolio, *chérie* - rozległ się tuż za nią niski, lekko rozbawiony głos. - Chcesz mieć pamiątkę? To ustaw się obok obrazu, a ja strzelę ci fotkę.

Cally drgnęła i opuściła aparat, zupełnie jakby ją przyłapano na czymś karygodnym.

- Każdy konserwator zaczyna pracę od zrobienia zdjęć obiektu - powiedziała obronnie, rzucając mu przez ramię zirytowane spojrzenie. I urwała.

Leon siedział w swobodnej pozie na poręczu kanapy. Miał na sobie parę dżinsów, prawie zupełnie pozbawionych koloru przez słońce i intensywne użytkowanie, oraz białą koszulkę, która podkreślała głęboki, złocisty brąz jego skóry. Swobodny strój pozwalał bez przeszkód podziwiać, jak wspaniale był zbudowany. Cally przesunęła zafascynowanym spojrzeniem po jego długich, mocnych nogach, płaskim brzuchu i umięśnionym torsie. W ustach zupełnie jej zaschło.

- Po co przyszedłeś? - spytała zmienionym głosem.

- Chciałem sprawdzić, czy nic ci się nie stało. Stéphanie znalazła to, kiedy sprzątała twój pokój. - Wyciągnął zza pleców poszarpane nogawki jej dżinsów. - Wszyscy się przestraszyliśmy, że napadł cię któryś z pałacowych brytanów, które trzymamy tu dla odstraszenia intruzów.

Cally spojrzała na swoje krótkie spodenki. Istotnie, krawiec był z niej marny. Linia cięcia wyglądała tak, jakby materiał odgryzło jakieś wyjątkowo złe psisko.

- Dzięki za troskę, ale jak sam widzisz, nic mi nie jest - uśmiechnęła się.

- Szkoda, że nie można tego samego powiedzieć o twoich nowych dżinsach - zauważył, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem.

- Szkoda, że nie pozwoliłeś mi zadbać o moją własną garderobę - odcięła się. - Nie mogę pracować wystrojona w obcisłe aż do bólu ciuchy od kreatorów mody, których w dodatku nie można normalnie prac!

- Mogłaś włożyć kostium kąpielowy - zasugerował bezczelnie. - Nie krępowałby ci ruchów i nic by się nie stało, nawet gdybyś się cała upaśćkała farbami... To nawet mógłby być... ciekawy widok.

- Bardzo śmieszne - syknęła Cally, nagle żalując, że siedzi przed nim z gołymi nogami. Następnym razem, żeby uniknąć kpinek tego bezczelnego typu, pojawi się w pracowni odziana w habit, który uszyje sobie z okiennych zasłon. - Nie masz żadnych traktatów do podpisania albo innych książących obowiązków do wypełnienia dzisiejszego ranka?

- W tej chwili nie. Dopiero po południu spotykam się z prezydentem Francji. Będziemy omawiać współpracę naszych straży przybrzeżnych. Od wieków, zgodnie z tradycją, wyspiarze z Montéz podejmują się ochrony części francuskiego wybrzeża. Dzisiaj nie mamy własnego wojska. Nasi obywatele służą w armii francuskiej.

Cally nagle poczuła, że jest jej głupio. Traktowała Leona jak zwykłego faceta. Była na niego zła za to, jak postąpił wobec niej w Londynie, ale nie mogła zapomnieć jego pocałunku. Denerwowało ją jego obcesowe zachowanie, ale uwielbiała na niego patrzeć... Jednak właściwie nigdy nie myślała o nim jako o władcy niezawisłego państwa. Nawet jeśli było ono naprawdę niewielkie, Leon dźwigał odpowiedzialność za los kilkudziesięciu tysięcy ludzi. To nie mógł być lekki kawałek chleba.

Może jednak powinna być dla niego... grzeczniejsza?

- Chciałbym przez chwilę popatrzeć, jak pracujesz, jeśli nie będzie ci to przeszkadzać. - Leon zsunął się z poręczy na siedzenie kanapy i wyciągnął przed siebie nogi.

Cally przygryzła wargę. Dlaczego właśnie przed chwilą obwołała dzień dobroci dla księcia?

- Jak sobie życzysz.

Leon skwitował jej niepewny ton rozbawionym uśmiechem.

- Od czego zaczniesz pracę?

Wielokrotnie zdarzało jej się wykonywać zabiegi konserwacyjne na oczach publiczności - na uczelni albo wtedy, gdy miała do czynienia z wyjątkowo entuzjastycznym lub podejrzliwym klientem, który chciał patrzeć jej na ręce. Obecność Leona nie powinna więc stanowić problemu, zwłaszcza że pierwsza część pracy nie była specjalnie skomplikowana. Po sfotografowaniu stanu wyjściowego należało usunąć zanieczyszczenia z powierzchni obrazu.

- Jeden z moich profesorów mawiał, że postawienie właściwej diagnozy to połowa pracy konserwatora. Dlatego robi się zdjęcia, oczyszcza fragment płótna i ogląda go pod mikroskopem. Obrazy są jak pacjenci. Objawy „choroby” w wielu przypadkach mogą być podobne, ale dla każdego trzeba opracować indywidualną kurację. - Z aparatem w ręku pochyliła się nad obrazem. - Mam specjalny obiektyw do makrofotografii, który pozwoli mi obejrzeć w powiększeniu pęknięcia farby i ocenić ich głębokość, zlokalizować przebarwienia, a potem zrobić szkice brakujących fragmentów, zanim przystąpię do najtrudniejszej fazy prac, czyli uzupełnienia braków na rzeczywistym płótnie.

Mówiła ciekawie, ale Leon nie był w stanie skupić się na jej słowach. Krew huczała mu w uszach tak głośno, że ledwo ją słyszał. Co go podkusiło, żeby przyjść tu i przyglądać się, jak pracuje? Teraz miał przed oczami jej cudownie długie nogi, o skórze jasnej i gładkiej jak jedwab. Bardzo dopasowane spodenki, które w poprzednim życiu były markowymi džinsami, opinały jej smukłe uda i cudownie krągły tyłeczek, który rozkosznie wypinała, pochylając się coraz bardziej nad płótnem. Stuprocentowo skoncentrowana na wykonywanej pracy, nie miała pojęcia o tym, na jakie tortury go skazuje.

- Więc... hm... zawsze chciałaś zostać konserwatorem obrazów? - wydusił z siebie. Głos miał tak ochrypły, jakby przechodził ostrą anginę.

- Nie... - Cally odłożyła aparat i kucnęła obok torby z narzędziami. Wybrała bawełnianą myjkę na drewnianej ręczce i spryskała ją dziwnie pachnącym płynem w aerozolu. - Z początku chciałam malować, ale życie potoczyło się inaczej.

Nastawiła się, że usłyszy jakiś cięty komentarz na temat swoich wyborów życiowych, ale, o dziwo, Leon milczał. Nie przerywając ciszy, zabrała się do czyszczenia powierzchni obrazu.

- Życie rzadko układa się tak, jak się tego spodziewamy, *n'est-ce pas?* - odezwał się po długiej chwili.

Cally domyśliła się, że mówi o śmierci brata. To Girard, jako pierworodny, miał objąć władzę na Montéz, a po nim jego potomek. Leon na pewno miał inne plany na życie. Wszystkie legły w gruzach, kiedy Girard zginął w wypadku. Nagle poczuła wielką chęć, żeby wypytać go o te plany. Kim chciał zostać w życiu? Co musiał porzucić, kiedy los obarczył go odpowiedzialnością za rodzinny kraj? Nie odezwała się jednak. On nie dręczył jej pytaniami na temat jej życiowych wyborów, wypadało więc, żeby mu się odwdzięczyła, postępując podobnie.

- Jednak Opatrzność działa czasami w bardzo tajemniczy sposób - ciągnął Leon, zamyślony. - Nie masz takiego wrażenia?

- Chyba nie mam aż tak romantycznej natury, by wierzyć w Opatrzność - odpowiedziała ostrożnie.

- Nie jesteś romantyczna, *ma belle?* - Przechylił głowę.

- Nie, a ty?

- Ja? - Zaśmiał się. - Urodziłem się na wyspie na Morzu Śródziemnym, u wybrzeży Francji. Romans mam we krwi.

Jego słowa zawisły w ciężkiej ciszy. Teraz, gdy był sam na sam ze swoją Nimué, ta krew powoli zamieniała się w ogień. Nie powinien był tu przychodzić. To było... zbyt niebezpieczne.

Zerwał się z kanapy. Istniał tylko jeden sposób, by ugasić pożar, który ogarniał go, gdy patrzył na jej cudownie zmysłowe, kobiece krągłości i małe, zręczne dłonie, które dotykały obrazu tak delikatnie, jakby pieściły kochanka.

- Dziękuję, że opowiedziałaś mi o swojej pracy. Zostawię cię samą, jeszcze tylko wezmę coś z tej szafki. - Ruszył w głąb pomieszczenia, starając się ignorować bolesne napięcie w podbrzuszu.

- Myślałam, że te szafki są puste. - Wyprostowała się i popatrzyła za nim, odgarniając włosy z twarzy.

- Mam tu resztki mojego sprzętu do nurkowania. Większości już się pozbyłem, bo nie zanosi się na to, bym w najbliższej przyszłości mógł poświęcić wiele czasu temu zajęciu.

- Nurkowałeś? - A więc dlatego był tak wspaniale zbudowany. Mogła się założyć, że z taką klatką potrafił długo wytrzymać pod wodą, nawet bez butli.

- Zanim musiałem się podjąć obowiązków władcy wyspy, byłem zawodowym nurkiem w *Marine Nationale*.

- We francuskiej marynarce wojennej? - Potrząsnęła głową, zaskoczona. Mogła go sobie wyobrazić jako admirała na bojowym okręcie, ale nie jako zwykłego nurka.

Skinął tylko głową i sięgnął do szafki po duży ręcznik. Cally zamierzała powiedzieć coś jeszcze, ale zaniemówiła, gdy Leon bez ostrzeżenia ściągnął przez głowę koszulkę i beztrąsko rzucił ją na podłogę. Chciała odwrócić głowę - ostatecznie, nie była tu po to, żeby oglądać księcia Montéz w dezabilu - ale nie była w stanie. Gapiła się na jego szerokie, mocne ramiona i harmonijnie umięśniony tors, godny dłuta antycznego rzeźbiarza. Jego prawy bok przecinała długa, lekko poszarpana blizna, niknąca za paskiem dzinsów. Po jakim wydarzeniu była pamiątką? Pragnienie, żeby go dotknąć, przeszyło ją nagłym, potężnym dreszczem, zamrowiło w opuszkach palców. Bezwiednie zrobiła krok w jego stronę, on jednak zdawał się w ogóle jej nie widzieć, zapatrzony w morze.

Gdy sięgnął do zapięcia dzinsów, oprzytomniała w jednej chwili. Miał zamiar rozebrać się do naga?! Z sercem bijącym na alarm co prędzej pochyliła się nad obrazem, ale z jakiegoś dziwnego powodu nagle straciła całe zainteresowanie pracą. Mogła myśleć tylko o tym, że Leon jest zaledwie kilka metrów od niej... prawdopodobnie zupełnie nagi. Po dziesięciu sekundach nie wytrzymała i zerknęła przez ramię.

Nie był nagi. Sama nie wiedziała, czy czuje rozczarowanie czy ulgę, kiedy zobaczyła, że ma na sobie granatowe, pływackie spodenki.

- Od tygodni nie mieliśmy tak gorącego dnia - odezwał się, podchodząc do oszklonych drzwi.

Cally miała okazję stwierdzić naocznie, że od tyłu prezentuje się równie zjawiskowo jak od frontu. Miał szerokie ramiona, proste plecy i wąskie biodra, a szczupłe pośladki i mocne uda wyglądały jak wyrzeźbione w granicie.

Od tygodni? Jej tak gorąco nie było jeszcze nigdy w życiu!

- Istotnie - odpowiedziała słabo. - Jest nawet cieplej niż wczoraj.

- Więc dołącz do mnie - zaproponował, robiąc szeroki gest w stronę morza.

Przez chwilę bawiła się myślą, że mogłaby zanurkować wraz z nim w chłodną toń, a potem płynęliby, ramię w ramię, świetlistym szlakiem nakreślonym na wodzie przez stojące w zenicie słońce.

- Dzięki, ale nie mogę. - Objęła się ramionami. - Zaczęłam czyścić powierzchnię płótna, a żeby uzyskać jednolity rezultat, nie można dopuścić, by rozpuszczalnik zasechł.

- Rozumiem. - Gdy otworzył drzwi na taras, uwodzicielski szept fal wypełnił pomieszczenie.

Leon ruszył powoli w stronę urwistego brzegu morza.

- Tylko nie przegrzej się przy tej pracy! - zawołał jeszcze, zrobił kilka sprężystych kroków i skoczył.

Jego ciało przecięło powietrze niczym strzała i wbiło się w miękkie objęcia morza. Woda zamknęła się nad nim i podjęła swój wieczny, rozkołysany taniec.

Cally nie wiedziała, ile czasu wpatruje się w fale, czekając, aż Leon się wynurzy. Dopiero kiedy poczuła, że się dusi, zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech od momentu, w którym zniknął pod wodą. Łapczywie chwytając powietrze, odłożyła narzędzia i wybiegła z pracowni. Stała na najniższym z prowadzących ku morzu kamiennych stopni i wyteżyła wzrok. Wreszcie, po nieskończonej długiej chwili, Leon wypłynął na powierzchnię, parskając jak mors, a ona aż osłabła z ulgi. Nieruchoma, patrzyła, jak oddala się od brzegu, tnąc wodę niespiesznymi, pewnymi ruchami silnych ramion.

Sama nie wiedziała, kiedy uniosła ręce do paska swojego prowizorycznego fartucha, który nagle wydał jej się okropnie ciasny. Niespodziewany przyływ tęsknoty pchnął ją ku morzu. Pragnęła zrzucić z siebie ubranie i ruszyć ku falom, wolna i nieskrępowana, niczym kobieta na obrazie Rénarda.

W następnej chwili ogarnął ją pusty śmiech. Po pierwsze, książe płacił jej za pracę, a nie za striptiz na tarasie, gdzie mogli ją zobaczyć poddani, a po drugie, pomyślał, że mogłaby mieć cokolwiek wspólnego z piękną, tajemniczą damą sportretowaną przez Rénarda, był po prostu komiczny. Zdecydowanie, powinna się zabrać do pracy. Otrzymała od

losu życiową szansę i nie mogła sobie pozwolić na to, by zniweczyły ją jakieś głupie emocje, które nagle wyrwały się spod kontroli.

Wróciła do pracowni i stanęła przed słynnym dyptykiem. Mogła go teraz dotykać, mogła śledzić każde pociągnięcie pędzla genialnego artysty, bez przeszkód chłonać niesamowitą atmosferę obrazu... Dlaczego więc nie była w stanie docenić tej sytuacji? Dlaczego zamiast wzruszenia i podekscytowania czuła tylko bolesną tęsknotę za mężczyzną, który powinien być jej wstrętny? Pokręciła głową. Musi coś na to zaradzić. Zacznie od rozmowy z kimś rozsądnym, kto pomoże jej przypomnieć sobie, jakie są jej priorytety.

Wydobyła ze swojej przepastnej torby poplamiony farbą telefon komórkowy i wybrała z krótkiej listy kontaktów numer siostry.

- Cally? Dobrze, że dzwonisz! Zaczynałam się martwić! - wykrzyczała Jen do słuchawki. W tle słychać było jazgot setek głosów i trzask fleszy.

- Dzwonię nie w porę?

- Ależ w porę, w porę. Koczuję po prostu przed kancelarią premiera. Atmosfera jest gorąca, ale nic się jeszcze nie dzieje. Nie wiadomo, czy ktoś w ogóle wyjdzie do dziennikarzy. - Jen musiała osłonić dłonią telefon, bo gwar wyraźnie przycichł. - Mów, co u ciebie. Nagrałam się już dwa razy na twój domowy numer z zaproszeniem na sobotę wieczór, a ty milczysz jak zaklęta! I nie odbierasz telefonów!

- Dzięki za zaproszenie, ale niestety nie będę mogła przyjść. Jestem... na Montéz. - Cally zawahała się wyraźnie. Okoliczności jej przyjazdu były tak dziwaczne, że zupełnie nie wiedziała, jak opowiedzieć o nich siostrze.

- Na Montéz? Wspaniale! - ucieszyła się Jen. - Od dawna mówiłam, że potrzebujesz porządnych wakacji.

- Nie jestem na wakacjach. Przyjechałam tu, żeby pracować nad *Miłością ku morzu* Rénarda.

- Naprawdę? Cally, to fantastycznie! A więc udało ci się dotrzeć do anonimowego prywatnego kolekcjonera i zaoferować mu swoje usługi!

- Nie, na to nie było szans. Wiem, że to nieprawdopodobne, ale nabywca obrazu sam mnie odnalazł.

- Czyli ma głowę na karku. Wiadomo, że lepszej specjalistki od malarstwa Rénarda po prostu nie ma. Umieram z ciekawości, kim jest ów tajemniczy milioner.

Cally westchnęła bezgłośnie. Powinna się była domyślić, że Jen bardziej niż obrazem zainteresowana będzie jego właścicielem. Nie darmo była dziennikarką.

- To tutejszy książę - wyznała niechętnie.

- O rety! Nie mów, że zatrudnił cię sam Leon Montaitler!

Cally zacisnęła dłoń na telefonie.

- Skąd znasz jego nazwisko? - wyjąkała.

Ona, wstyd się przyznać, słyszała je po raz pierwszy.

- Żartujesz? Każdy, kto pracuje w prasie, wie, kim jest Leon Montaitler! To książę, który zakazał mediom wstępu do swojego pałacu. Nie zgadza się, aby w gazetach pojawiła się jakakolwiek wzmianka o jego życiu prywatnym czy osobistym majątku, a armia bardzo skutecznych prawników czuwa nad tym, by nikt nie złamał tej reguły. Ten człowiek to chodząca enigma.

- Raczej chodząca arogancja - mruknęła Cally. - To drań, tyle ci powiem.

- Czym ci tak podpadł? Przecież zawdzięczasz mu zlecenie życia.

- To fakt, ale...

- Czyżby jego książęca mość założył, że ponieważ wciągnął cię na swoją listę płac, może również wyegzekwować prawo pierwszej nocy?

Cięty język siostry zazwyczaj bawił Cally, ale nie tym razem. Gdyby Jen wiedziała, jak było naprawdę...

- Nic podobnego - zaprotestowała szybko. - Po prostu chodzi o to, że ten łajdak zamierza zamknąć *Miłość ku morzu* na trzy spusty w swoim cholernym pałacu, a przecież ludzie mają prawo oglądać ten obraz! Gdyby książę pan sam go namalował, mógłby z nim robić, co mu się żywnie podoba, ale jego jedyną zasługą jest to, że ma forsy jak lodu. I wydaje mu się, że sztuka to taki sam towar jak każdy inny!

- Cóż, nie dziwi mnie to. Moźni tego świata już tacy są - westchnęła Jen. - Ale nie załamuj rąk. Nie uda ci się zmienić losu twojego ukochanego obrazu, ale możesz przecież zrelacjonować proces jego konserwacji, podzielić się wrażeniami...

- Słucham?

- Moglibyśmy napisać reportaż o przywracaniu *Miłości ku morzu* jej dawnego blasku. Do działu kulturalnego gazety. To byłby strzał w dziesiątkę. Trochę pikantnych szczegółów na temat losów obrazu, twój portret jako konserwatora...

- Byłoby cudownie, ale zobowiązałam się do całkowitej dyskrecji. Taki warunek jest zapisany w kontrakcie. Halo? Jen?

W słuchawce słyhać było tylko jazgot, który z każdą sekundą przybierał na sile. Cally zobaczyła oczami duszy jak jej siostra, wraz z całym stadem dziennikarzy, rzuca się w pogoń za najświeższymi nowinami ze świata polityki.

- Halo? Cally? Co mówisz? Nie słyszę cię! Teraz nie mogę rozmawiać, odezwę się później! - wykrzyczała Jen.

- Jen! Zapomnij, że w ogóle wspomniałam ci o tej sprawie! - zawołała Cally, ale siostra już przerwała połączenie.

Leon podpłynął z powrotem do brzegu i powoli wspiął się po żeliwnej drabince, którą jeszcze dziadek poprzedniego władcy wyspy kazał zamontować w tym miejscu, żeby móc się kąpać w zacisznej, skalnej zatoce przy pałacu, kiedy przyszła mu ochota. Strome skały tworzyły tu basen, osłonięty od strony miasta, a otwierający się na pełne morze. Żeby dostać się na taras przed pomieszczeniem, w którym urządził pracownię, wystarczyło pokonać kilka kamiennych stopni. Leon nie spieszył się. Kiedy parę minut wcześniej wypłynął na powierzchnię wody, zobaczył Cally stojącą na skałach tuż nad urwistym brzegiem. Wypatrywała go, a na jej twarzy malowały się niepokój i tęsknota. Z nagłym dreszczem zrozumiał, że kobieta na brzegu go pragnie. Że chce go dla siebie.

Legendy ostrzegały, że mężczyzna, którego zapragnęła piękna Nimué, powinien się mieć na baczności. Bo czarodziejka była podstępna. Uwodziła, a potem wykorzystywała mężczyzn do swoich celów. W bajkach zawsze było ziarno prawdy. Leon musi pamiętać o tym, że gra z Cally może się okazać niebezpieczna. Zdawał sobie sprawę, że zbyt wielka spoczywa na nim odpowiedzialność, by mógł sobie pozwolić na to, by choć na chwilę stracić czujność. Nie mógł dopuścić, by ona przejęła kontrolę. Wiedział przecież, że pociąga ją sława i pieniądze...

- Ważna rozmowa? - rzucił, otwierając drzwi.

Cally drgnęła, szybko ukryła aparat w torbie i obróciła się ku niemu.

- Słucham?

- To musiała być ważna rozmowa - powtórzył - skoro przerwałaś zajęcie, któremu oddawałaś się wcześniej.

- Skończyłam już czyścić pierwszą część obrazu - powiedziała szybko.

- Nie chodziło mi o pracę. - Ze znaczącym uśmiechem popatrzył w stronę skał, na których przed chwilą stała.

Gdy znów na nią spojrział, zobaczył, jak jej policzki pokrywają się ciemnym rumieńcem zażenowania, i nagle mógł myśleć tylko o jednym - że umiera z pragnienia, by dotykać jej delikatnej skóry, że chce odnaleźć ustami jej miękkie, rozchylone wargi...

Zdecydowanym gestem sięgnął po ręcznik.

- Nie będę ci dłużej przeszkadzał. Prezydent Francji mógłby być zszokowany, gdybym pojawił się u niego w mokrych slipach, więc muszę się przebrać w coś innego przed podróżą. Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Jutro wieczorem będę podejmował szejka Qwashiru wraz z narzeczoną. Czy zgodziłabyś się towarzyszyć nam podczas kolacji, a potem pokazać moim gościom *Miłość ku morzu*? Jestem pewien, że wiesz o tym obrazie wszystko i będziesz mogła odpowiedzieć na każde pytanie.

Cally zmarszczyła brwi.

- Mówisz o tej parze, która jest na pierwszych stronach wszystkich gazet na świecie?

- Owszem. - Leon skrzywił się nieznacznie.

- Naprawdę chcesz, żebym opowiedziała im o obrazie? - spytała, podekscytowana.

Co prawda, wolałaby wygłosić prelekcję na temat *Miłości ku morzu* przed grupą studentów albo zwiedzających muzeum turystów, ale nie miała zamiaru wybrzydzać.

- Naprawdę - mruknął niechętnie.

Wymyślił tę akcję z obrazem, bo chciał mieć pretekst, żeby zobaczyć Cally ubraną w jedną z eleganckich i seksownych sukienek, które dla niej zamówił. Tymczasem ona w lot chwyciła okazję, żeby brylować przed parą celebrytów. Typowe.

- Dziękuję za zaproszenie. Zrobię to z przyjemnością.

- Nie wątpię - skwitował, wielkimi krokami wychodząc z pracowni.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Cally wyszła spod prysznic, owinięta w gruby ręcznik kąpielowy, otworzyła rzeźbione drzwi wielkiej, mahoniowej szafy na ubrania i zadumała się głęboko. Kiedy Leon uparł się, że zadba o jej garderobę, była zła. Następnego dnia, gdy rozpakowała zakupy i przekonała się, że została obdarowana całkowicie niepraktycznymi, luksusowymi strojami, wściekła się nie na żarty. Dlaczego więc teraz, kiedy miała okazję wystroić się w jedno z tych cudeniek, czuła się podekscytowana jak dziecko w Wigilię Bożego Narodzenia? Przesunęła kilka wieszaków, błogosławiąc Stéphanie za to, że poprzedniego dnia pieczołowicie wyprasowała i powiesiła w szafie wszystkie ubrania, które ona zostawiła rozrzucone na łóżku. Z rozbawieniem zauważyła, że podczas gdy pracowała, garderobę uzupełniono o cały stos lekkich, bawełnianych koszulek, kilka par luźnych spodni i nawet jedne prawdziwe ogrodniczki. Księżę najwyraźniej się przestraszył, że kolejny kosztowny strój padnie ofiarą jej krawieckich talentów.

Powoli przesuwiała wieszaki z sukienkami. Pierwsza była czerwona jak wino, długa i wąska, z asymetrycznym dekoltem i głębokim rozcięciem na lewym udzie. Następna, bladozłota, z uroczą stójką podchodzącą wysoko pod szyję, była tak krótka, że pewnie z ledwością zakrywała pośladki. Trzecia... była po prostu piękna. Cally wyciągnęła rękę i pogładziła delikatny jedwab w głębokim kolorze jadeitu. Góra sukienki była prosta, z wąziutkimi ramiączkami. Dół rozpływał się szeroką skośną falbaną, spod której wyglądała gęsto marszczona, półprzezroczysta haleczka, w odcieniu o ton jaśniejszym niż materiał sukni. Mocny kolor stroju łagodziła aplikacja z bladoniebieskich akwamarynów, meandrująca zawiłym szlakiem wzdłuż linii dekoltu.

Na dnie szafy stały pasujące do sukni sandaalki na zawrotnie wysokim obcasie. Cally zdjęła kreację z wieszaka i położyła ją na łóżku, ostrożnie, jakby miała do czynienia z dziełem sztuki, a potem, nie mogąc się powstrzymać, otworzyła szufladę z nową bielizną...

Pół godziny później schodziła do sali jadalnej, rozkoszując się chłodnym dotykiem jedwabiu tańczącego wokół jej kolan przy każdym kroku. Pchnęła ciężkie drzwi i zatrzymała się, zbita z tropu. Coś było... nie tak. W wysokim na dwa piętra pomieszczeniu,

ozdobionym rzędami smukłych kolumn, panowała absolutna cisza. Długi stół z ciemnego drewna nie został nakryty do kolacji. Zerknęła na staroświecki zegar stojący na ogromnym, zajmującym jedną ze ścian kredensie. Nie, nie pomyliła godziny. Najwyraźniej nastąpiła zmiana planów, jednak jej zapomniano o tym wspomnieć.

- Och, Boyet, dobrze, że pana widzę! - Kiedy wysoka postać majordomusa mignęła w holu, Cally poczuła przyływ ulgi. - Księżę wydaje dziś o ósmej uroczystą kolację, w której mam wziąć udział... Ale chyba wybrał jakieś inne pomieszczenie, a ja nie wiem które. - Bezradnie rozłożyła ręce. Pałac książęcy na Montéz był wielki; w większość korytarzy jeszcze w ogóle się nie zapuściła.

- Przykro mi, panno Greenway - starszy pan uśmiechnął się przepaszająco - ale najwyraźniej księżę zmienił plany w ostatniej chwili. Wiem tyle, że kuchnia nie szykuje dzisiaj żadnej uroczystej kolacji, a Jego Wysokość właśnie poszedł popływać.

- Pływać? Teraz? - Oniemiała, zrobiła krok w stronę rzędu łukowato zwieńczonych okien.

Noc nadciągała szybko, na skrzydłach gwałtownej wichury. Nad horyzontem wisiała ciężka, ołowiana chmura, barwiąc morze na zimny, stalowy kolor. W szarej poświacie zmierzchu fale napierały na skalisty brzeg, niczym korowody gniewnych wojowników.

Leon był gdzieś tam, w ciemności, zdany na łaskę wichru i szalejącego morza... Cally sama nie wiedziała, kiedy zaczęła biec tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to kilkunastocentymetrowe obcasy eleganckich sandałów. Zdyszana, wpadła do pracowni, i rzuciła się ku oszklonym drzwiom wiodącym na taras.

- Szukasz czegoś?

Tłumiąc okrzyk zaskoczenia, obróciła się szybko. W półmroku zobaczyła zarys męskiej sylwetki siedzącej bez ruchu na kanapie. Był cały i zdrowy. Ulga spłynęła na nią gwałtownie, odbierając siłę, mącąc wzrok.

- Boyet powiedział, że poszedłeś pływać - wyrzuciła z siebie, robiąc kilka chwiejnych kroków w jego stronę. Drżącą ręką sięgnęła do włącznika wysokiej stojącej lampy. Mocny strumień białego światła wydobył z półmroku stojący na sztalugach obraz. Roz-

proszyl ciemność na tyle, by zauważyła, że szara koszulka Leona przywiera do jego mokrego torsu, a z włosów wciąż spływają strumyczki wody. - Oszalałeś?! - wybuchnęła.

- Wątpisz w moje zdrowie psychiczne, ponieważ odwołałem spotkanie z władcą pustyni i słynną modelką, jego narzeczoną? - podsunął.

Jego głos ociekał pogardą.

- Pływałeś w taką pogodę! - Jej okrzyk spunktowało uderzenie wichru, od którego zadrżały szyby. - Nie wystarczy ci jedna blizna?

- Przestałbym ci się podobać, gdybym dorobił się kolejnej? - Uśmiechnął się zimno.

- Zmieniłeś plany na dzisiejszy wieczór? - udała, że nie słyszy jego pytania.

- Owszem.

- Ale nie uznałeś za stosowne powiadomić mnie o tym? Poświęciłam dobrą godzinę na szykowanie się do kolacji.

Niespiesznie przesunął spojrzeniem po jej postaci. Włosy splotła w kunsztowną koronę. W jej twarzy, o cerze jasnej i czystej jak najdelikatniejsza chińska porcelana, lśniły wielkie hiacyntowe oczy podkreślone liliowym cieniem. Kształtne, zmysłowe usta pomalowane ciemną szminką przyciągały wzrok, wzniecały płomień pożądania, jakby rzuciła na niego czar. Tak, to musiał być czar - nie umiał inaczej wyjaśnić tego, że pragnął jej, mimo że była beczelnie wyrachowana.

- Nie mogłem przypuszczać, że zadasz sobie aż tyle trudu - wycedził, ostatkiem sił głuszając emocje. - Dotychczas wykazywałaś się dość ascetycznym gustem, jeśli chodzi o stroje... ale powinienem był przewidzieć, że przejdiesz samą siebie, gdy tylko zwietrzysz okazję, by zyskać upragniony rozgłos.

- Jaki rozgłos? - Zmarszczyła brwi. - O czym ty w ogóle mówisz?

- Jesteś znakomitą aktorką, Cally, ale możesz już przestać udawać niewiniątko. Nie wzięłaś pod uwagę, że ja potrafię czytać?!

Nagły grymas gniewu wykrzywił mu wargi. Bez ostrzeżenia zamachnął się i cisnął Cally pod nogi jakiś przedmiot.

Nie zdążyła zauważyć, co to było. Pocisk trafił w podstawę lampy, która zachwiała się niebezpiecznie. Zanim w jej głowie zdążyła się pojawić jakakolwiek myśl, Cally rzu-

ciła się do przodu, własnym ciałem zasłaniając *Miłość ku morzu*. Zdażyła na ułamek sekundy, zanim ciężki, stalowy klosz, upadając, omal nie rozorał płótna. Lampa uderzyła ją w ramię i przewróciła się, ale nie zgasła. Mocna żarówka oświetlała teraz leżącą na podłodze pomiętą gazetę.

- Co ty wyprawiasz? - Drżąc ze zdenerwowania, Cally pochyliła się i podniosła gazetę. Kiedy rozpoznała angielski tytuł, niepokój chwycił ją za gardło. Gdzieś daleko, nad morzem, rozległ się grzmot zwiastujący nadciągającą nawałnicę.

Arcydzieło Rénarada pod czułą opieką.

Konserwator obrazów Cally Greenway tylko nam zdradza sekret wart osiemdziesiąt milionów...

Cally miała wrażenie, że każde z przeczytanych słów wbija się w jej serce lodowatym ostrzem przerażenia. Jak to się mogło stać? Przecież wyraźnie powiedziała... Jęknęła cicho, kiedy przypomniała sobie, jak zakończyła się rozmowa z siostrą. Dziennikarze podnieśli piekielną wrzawę i Jen musiała nie dosłyszeć jej ostatnich słów.

- Leon, tak mi przykro - wyjąkała zdrętwiałymi wargami. - To nieporozumienie. Mówiłam jej, że kategorycznie się nie zgadzasz, żeby pisać cokolwiek...

- Jej?

- Mojej siostrze. Jest dziennikarką.

- Cóż za wspaniała wiadomość.

- Przedwczoraj rozmawiałam z nią przez telefon - zaczęła tłumaczyć. - Chciałam tylko, żeby wiedziała, gdzie jestem i co robię. Jen kibicowała mi, kiedy starałam się o kontrakt z London City Gallery. zaproponowała, że napisze reportaż o mojej pracy na Montéz, ale się nie zgodziłam. Powiedziałam jej, że to absolutnie niemożliwe. Tylko że... w tym momencie coś nam przerwało i musiała nie dosłyszeć moich słów.

- Musiała nie dosłyszeć? Jakże fortunny zbieg okoliczności! Daj spokój, Cally. Przecież wiem, na czym ci tak naprawdę zależy.

Splonęła rumieńcem i przestąpiła z nogi na nogę. Poczowała się nagle zupełnie bezbronna, jakby stała przed nim naga.

- Sama powiedziałaś, że odrestaurowanie słynnego arcydzieła przyniesie ci pieniądze i światowy rozgłos. Na to liczyłaś. Więc nie próbuj mi teraz wmówić, że ta notatka w

gazecie zapowiadająca szczegółowy reportaż o obrazie i jego konserwatorce pojawiła się skutek nieporozumienia.

Cally zrozumiała, że od tego, co teraz powie, zależy jej przyszłość. Jeśli nie przekona Leona, że jest niewinna, już nigdy nie zobaczy *Miłości ku morzu*.

- Każdy fachowiec chce zostać doceniony - zaczęła ostrożnie. - Jednak przyjmując twoje zlecenie, kierowałam się przede wszystkim o wiele bardziej osobistym motywem...

- Postąpiła krok w jego stronę. - Tak się składa, że ten konkretny obraz fascynuje mnie od lat. To on sprawił, że zainteresowałam się sztuką. Gdybyś przeprowadził ze mną prawdziwą rozmowę kwalifikacyjną, opowiedziałabym ci o tym.

- Dziękuję ci za szczerość. - Uśmiechnął się zagadkowo, nie spuszczać z niej wzroku. - Skoro więc wszystko sobie wyjaśniamy, powiedz mi, Cally, czy tylko obraz Rénarda cię fascynuje? Czy to ten obraz powoduje, że rozszerzają ci się źrenice, oddech przyspiesza, a na policzki występują rumieńce? Jako specjalistka od ochrony, na pewno zdajesz sobie sprawę...

- Ochroną nie musisz się przejmować, na szczęście dla nas obojga mam odpowiednie odruchy - wypaliła, spoglądając na obraz. Gdyby nie jej refleks, w bezcennym płótnie świeciłaby teraz dziura.

Nie zauważyła, kiedy zerwał się z kanapy. W następnej chwili znalazła się w jego ramionach.

- To się znakomicie składa - wymruczał jej do ucha.

- Leon, nie... - zaczęła, ale on zdusił jej protest, przyciskając ją do siebie tak mocno, jakby chciał, żeby ich ciała zlały się w jedno.

- Dlaczego nie, *chérie*, skoro oboje wiemy, że tego właśnie pragniesz?

- Ponieważ oboje wiemy też, że ty tego nie chcesz - szepnęła, spuszczać wzrok.

Drgnął i rozluźnił uścisk.

- Co ty mówisz? Pragnę cię tak, że aż mnie to przeraża - wychrypiął, cofając się o krok.

- Ale w Londynie... - Kiedy uniosła rzęsy, zobaczył, że na ich końcach błyszczą łzy.

Ten widok sprawił, że poczuł się zupełnie bezbronny. Uniósł rękę i pogłaskał palcami jej policzek, jakby dotykiem chciał przekazać jej coś, czego nie potrafił wyrazić słowami.

- Kochanie, w Londynie chyba oboje zrobiliśmy coś, czego potem gorzko żalowaliśmy - powiedział cicho.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich szczerość. Pragnął jej. Leon, książę Montéz, stał przed nią, zwykłą, szarą Cally Greenway z Cambridge, a na jego niewiarygodnie przystojnej twarzy malowało się pożądanie. I coś jeszcze, czego nie umiał nazwać...

Najpierw osaczyła ją niepewność. Zmroził lęk, że zwodzą ją jej własne emocje. Kiedy wreszcie pozwoliła sobie uwierzyć w to, co widzi, z nagłym dreszczem zrozumiała, że następny krok należy do niej. Mogła się wycofać, ukryć w bezpiecznym świecie, w którym żyła samotnie, chroniąc się przed zranieniem... ale mogła też wyjść naprzeciw temu, co los szykował dla nich dwojga. Tak jak kobieta na obrazie, która odrzuciła lęk i szła śmiało ku wzburzonemu morzu. Jeśli chciała poczuć, że naprawdę żyje, musiała się zdobyć na odwagę. Teraz.

Wyciągnęła do niego ręce.

Za jej plecami błyskawica rozdarła niebo, oślepiającym, srebrnym blaskiem zalewając wzburzone morze. Leon mógłby przysiąc, że widział, jak ta błyskawica rodzi się w jej dłoniach, tryska z jej palców. Zapatrzył się w jej tajemnicze oczy błyszczące w półmroku. To w nich właśnie jest serce nawałnicy, pomyślał z nagłym dreszczem. Chciał się zatracić w mocy, jaką miała ta kobieta.

Kiedy ich usta się dotknęły, huknął grom.

Objął ją w talii, przyciągnął jeszcze bliżej do siebie i pogłębił pocałunek, natarczywą pieśczołą warg i języka prowokując ją do odpowiedzi. Uniosła ręce, zanurzyła dłonie w jego włosach i wspięła się na palce, chłonąc go wszystkimi zmysłami. Włosy miał wilgotne, tors twardy i gorący. Dobrze jej znana, korzenna nuta jego wody po goleniu splatała się z rześką wonią morza, tworząc jedyny w swoim rodzaju, niewiarygodnie zmysłowy zapach. Smakował słoń, morską wodą. I pożądaniem.

- Zdejmij sukienkę - rzucił, odsuwając ją od siebie na odległość ramienia.

- Też sędzę, że jest zbyt oficjalna jak na dzisiejszy wieczór - wyszeptała, drżącymi palcami, po omacku, szukając zapięcia.

Kiedy lśniący jedwab spłynął do jej stóp, kolejna błyskawica rozświetliła niebo. Srebrzysty blask zatańczył w jej oczach, na ułamek sekundy wydobył z półmroku jej ciało. Leon poczuł, że zachwyt odbiera mu dech.

Chłodny dotyk powietrza na nagiej skórze otrzeźwił Cally na tyle, że przypomniała sobie, jaką bieliznę włożyła pod suknię. Rozkoszne upojenie zamieniło się w jednej chwili w palący wstyd. Kiedy wystroiła się w sznurowany gorsecik z baskinką z cieniutkiej, przezroczystej koronki, myślała tylko o tym, że ma jedyną w życiu okazję, by sprawdzić, jak się czuje kobieta, która ma na sobie coś tak kosztownego. Potem zamierzała ręcznie uprać bieliznę i nawet przyczepić z powrotem metkę, żeby nikt się nie domyślił, że w ogóle jej dotykała. Teraz... wszystko wyszło na jaw.

Z niepokojem zerknęła na Leona. Co mógł sobie o niej pomyśleć, kiedy stała przed nim, wystrojona jak luksusowa prostytutka? Pewnie zaraz zacznie się z niej naśmiewać... Może też uzna za stosowne przypomnieć jej, że nie jest artystką z Moulin Rouge, tylko nudną panią konserwator. Gdyby w dodatku wiedział, że minęła prawie dekada, odkąd ostatnio uprawiała seks, to już w ogóle umarłby ze śmiechu...

On jednak wcale się nie śmiał. Patrzył na nią oczami pociemniałymi z pożądania, a na twarzy miał wyraz czystej, zmysłowej przyjemności. Jego spojrzenie uwolniło ją od przytłaczającego poczucia niepewności, jakby była dotąd szarą poczwarką, która nagle zaczęła się przemieniać w lekkiego, pięknego motyla. Pofrunęła ku niemu.

- Nie jest ci zimno? - wymruczał, otaczając ją ramionami, gdy ciężkie krople zwiastujące nadchodzącą ulewę załomotały o szyby.

- Nie - szepnęła, wtulając się w niego. - A tobie?

- Co, mnie? - Sięgnął do sznurowania gorsetu i jednym pociągnięciem rozwiązał tasiemkę.

- Czy ci nie zimno? - Dotknęła wargami jego podbródka.

- A jak myślisz? - Zaśmiał się, uwalniając ją z gorsetu.

Gdy koronkowy ciuszek opadł na podłogę, Leon poczuł, że jego ciało staje w ogniu. Nigdy nie widział tak pięknych piersi. Były białe jak mleko i rozkosznie ciężkie,

lecz jednocześnie krągłe i jędrne, z szerokimi, bladymi aureolami i zawadiacko sterczącymi w górę sutkami. Idealne. Chciał objąć je dłońmi, ukryć twarz w ich miękkości, odszukać językiem smak wrażliwych koniuszków... Wymknęła się jego ręką.

- Skoro ci nie zimno... - podciągnęła jego koszulkę - to może byś się tego pozbył?

- Rozkaz, o pani. - Jednym ruchem ściągnął koszulkę, a potem sięgnął do zapięcia spodni.

Po chwili, wypełnionej gorączkowym biciem jej serca, był zupełnie nagi.

Cally objęła wzrokiem jego postać i aż westchnęła. Był naprawdę imponująco zbudowany.

- No i jakie wrażenia? - spytał, rozbawiony. - Podoba ci się?

- Nie powiem. Twoje ego jest już wystarczająco rozdęte.

- Nie musisz mówić - wymruczał. - Pokaż mi.

Rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Stał przed nią nieporuszony, piękny i dumny. Było w jego męskiej sylwetce coś ponadczasowego, władczość i moc, którą musiał odziedziczyć po nieustraszonych żeglarzach, którzy przed wiekami podporządkowali sobie ten skalisty skrawek ziemi. Był... wspaniały. Zachwyt spłynął jej dreszczem po plecach, zamrowił w opuszkach palców, w koniuszku języka, budząc pragnienie, które ją samą zaskoczyło. Powoli, bardzo powoli zgięła kolana, by sięgnąć po niego. Podniosła na niego oczy, gdy jej ciemno umalowane wargi dotknęły jego podbrzusza, gdy odnalazły jego dumnie wzniesioną męskość i zaczęły pieszczotliwie przesuwając się ku górze, aż wreszcie wzięły w swe gorące objęcia jej wrażliwy czubek.

Leon zamarł, wpatrzony w jej usta. Poczuł muśnięcie jej nagich piersi na udach, usłyszał jej pełne satysfakcji mruknięcie, kiedy pogłębiła pieszczotę, badając językiem koniuszek jego członka. Jęknął głucho i chwycił ją za ramiona.

- Pragnę cię - szepnął, pociągając ją ku górze. - Chcę cię wziąć.

Ona też tego pragnęła. Jej ciało pulsowało pierwotną tęsknotą. Chciała poczuć, jak się w nią wbija, jak wypełnia ją swoją siłą. Z zaskoczeniem zrozumiała, że pragnie tego od chwili, gdy zobaczyła go po raz pierwszy, w tłumie eleganckich gości wypełniających sale Domu Aukcyjnego Crawforda.

Kołysząc biodrami, powoli zsunęła majteczki, doskonale świadoma, że Leon pożera wzrokiem każdy odsłonięty milimetr jej ciała. Gdy była już naga, jeśli nie liczyć sandałków na szpilce oplatających jej kostki siecią wąziutkich rzemyków, uniosła ręce i pchnęła go w tył. Opadł na kanapę, a ona uniosła się nad nim, obejmując go kolanami, skupiona, wsłuchana w głos instynktu i gotowa na jego przyjęcie.

Zacisnął dłonie na jej talii i uniósł biodra, wchodząc w nią powoli. Wstrzymała oddech, porażona mglistym wspomnieniem bólu, które ułamek sekundy później rozwiało się, zmiecione przez falę narastającej rozkoszy. A więc tak mogła wyglądać fizyczna miłość między dwojgiem ludzi, pomyślała, czując, jak pod powiekami wzbierają jej łzy radości.

Gdy zaczął się w niej poruszać, wszystkie myśli uleciały, spłoszone intensywnością doznań. Wypełniał ją bez reszty, gorący i potężny, każdym pchnięciem prowadząc ją ku czemuś, co zdawało się oczywiste, lecz jednocześnie zupełnie nieznanie.

- Zamknij oczy - polecił, a kiedy usłuchała, znieruchomiał, prowokując ją, by przejęła inicjatywę.

Odrzuciła głowę w tył, włosy wyzwoliły się z upięcia i spłynęły na jej jasne plecy ognistą rzeką. Instynktownie podjęła rytm, odnalazła drogę, choć zupełnie nie wiedziała, dokąd zmierza. Kiedy dotarła na skraj tajemnicy, zawahała się.

- Poddaj się - wychrypiał. - Nie broń się przed tym.

- Nie... potrafię. Ja... jeszcze... nigdy... - wyrzuciła z siebie.

Uniósł się i odnalazł ustami jej piersi. Poczula, jak drażni językiem jeden koniuszek, potem drugi. I gdzieś głęboko, wewnątrz siebie, odnalazła klucz do drzwi, których jeszcze nigdy nie udało jej się otworzyć.

- Teraz - rozkazał Leon, zwiększając tempo, pobudzając ją potężnymi dźgnięciami.

- Teraz.

Rozkosz wzięła ją we władanie, nie dając żadnej szansy na ucieczkę. Kiedy przeszła ją oślepiająca błyskawica spełnienia, wydała okrzyk, w którym zdumienie mieszało się z zachwytem. Jej wysoki głos wybił się ponad huk szalejącej nad wyspą nawałnicy. Wstrząsana spazmami, jak przez mgłę widziała zmienioną twarz Leona, jego nagle tężejące mięśnie.

Gdy wypełnił ją gorący strumień jego wytrysku, z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie użyli prezerwatywy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zaplątana w miękką narzutę, uwięziona pod ciężkim, nieruchomym ramieniem Leona, który przygarnął ją do siebie leniwym ruchem, a potem z błogim westchnieniem zamknął oczy, Cally skuliła się i zacisnęła powieki.

Nie użyli prezerwatywy.

Dwoje dorosłych ludzi, a zachowali się jak para durnych nastolatków.

Dlaczego Leon był taki spokojny? Leżał na wznak, z przymkniętymi oczami, zadowolony niczym syty drapieżnik. Może książę Montéz był pionierem w stosowaniu męskiej pigułki antykoncepcyjnej, tylko zapomniał jej o tym powiedzieć? A może był bezpłodny? Miał podwiązane nasieniowody?

Och, nie, nie było sensu się oszukiwać. Prawda wyglądała tak, że kochała się z najbardziej męskim samcem, jaki chodził po tym świecie, i nie zadbała o ochronę...

Nagle w jej głowie zawyła syrena alarmowa. Rozwiązanie zagadki było nieprawdopodobnie proste. Czy nie wykrzyczała Leonowi w twarz, że ochroną nie musi się przejmować, bo ona ma właściwe odruchy? Mówiła wtedy o obrazie, ale on mógł odczytać jej słowa zupełnie inaczej.

Podniosła się nagłym ruchem, drżąc z napięcia. Nabrała powietrza, gotowa wyznać Leonowi całą prawdę. Spojrzała na jego pogrążone w półśnie nieruchome ciało, na wyraźnie złagodniałe rysy twarzy... i nie odezwała się ani słowem.

Co się stało, to się nie odstanie. Możliwe, że jego nasienie już zakorzeniło się w niej, żeby w swoim czasie przynieść plon... Ale prawdopodobieństwo było przecież bardzo niewielkie. Jej siostra z mężem starali się ponad rok, zanim się doczekali pierwszego dziecka. Nie było więc sensu histeryzować ani tym bardziej zwierzać się Leonowi ze swoich lęków. Nie, zdecydowanie lepiej było milczeć. Zwłaszcza że Leon na pewno by jej nie uwierzył. Oskarżyłby ją, że działała podstępnie i z premedytacją. Że próbowała złapać go na dziecko.

Dziecko...

Pomimo zdenerwowania poczuła, jak ta myśl wypełnia ją nieśmiałą radością, promieniuje sekretnym ciepłem, które ogarnia jej wnętrze. Mogłaby mieć z nim dziecko... Jakiś cichy głos, szczyry jak sama natura, szeptał na dnie jej serca, że tego właśnie pragnie.

Zagłuszyła ten głos. Nie było teraz czasu na snucie fantazji. Miała pilniejsze problemy.

Rzuciła niespokojne spojrzenie w stronę pomiętej gazety, wciąż leżącej na podłodze. Nie wiedziała, czy jej kontrakt na konserwację obrazu w dalszym ciągu jest w mocy. Złamała przecież zasadę poufności. Jeśli książę Montéz zamierzał ją odprawić, nie chciała zostać zmuszona do opuszczenia pałacu... nago.

Leon obserwował Cally spod przymkniętych powiek. Kiedy się kochali, emocje zdawały się pochłaniać ją bez reszty. Okazała się wrażliwa i namiętna, dokładnie tak, jak to sobie wcześniej tyle razy wyobrażał. Jej zawstydzenie wzruszyło go, a jej śmiałość wzbudziła jego zachwyty. Dlaczego więc, kiedy szaleństwo minęło, a nastąpiła błogość, nie pozwoliła sobie na to, by choć przez chwilę smakować rozkoszne znużenie i bliskość kochanka? Pozostała skupiona i czujna, zupełnie jakby uniesienie, które przed chwilą przeżyli, nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia. Zręcznie wyplątała się z jego ramion, rzucając mu nieufne spojrzenia spod potarganej grzywki. Przez chwilę wpatrywała się w niego z wyrazem dziwnego napięcia na twarzy, a potem zerwała się z kanapy.

Naga, z ramionami okrytymi peleryną splecionych włosów, na palcach podbiegła do miejsca, gdzie wcześniej porzuciła ubranie. Wciąż czujnie na niego popatrując, szybko włożyła suknię na nagie ciało, zapominając o bieliźnie. Ten widok był tak elektryzujący, że Leona w jednej chwili opuściła senność. Poczuli, jak jego krew znów zamienia się w ogień. Czarodziejka Nimué... był całkowicie pod jej urokiem. Zrobiliby wszystko, żeby ją przy sobie zatrzymać. Szkoda tylko, że nie mógł jej ufać.

- Jutro z samego rana zadzwonię do siostry - odezwała się cicho, siadając obok niego. - Wytłumaczę jej całą sprawę i upewnię się, że nie planuje niczego publikować na temat *Miłości ku morzu*. Przysięgam, że nigdy więcej nie przekroczę twojego prawa prywatności.

- To nie jest moje prawo. Życie osobiste rodziny Montaillerów już od trzech pokoleń jest tematem, do którego nie dopuszcza się prasy. Naszą rolą jest dbanie o dobro wyspy i jej mieszkańców, a nie pozowanie do zdjęć.

- Ale przecież twój brat... - wyrwało się Cally.

Zbyt dobrze pamiętała tysiące fotografii Girarda i jego pięknej młodej żony, które dosłownie zalewały wszystkie europejskie gazety.

- Mój brat respektował to samo prawo, dopóki nie poznał Torii. - Leon zamilkł na chwilę. Zazwyczaj jak ognia unikał mówienia o przeszłości. Ale gdy spojrział w szeroko otwarte, hiacyntowe oczy Cally, poczuł, że z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu chce się jej zwierzyć. - Pewnego lata na wyspę przyjechała ekipa filmowa - zaczął, marszcząc brwi. - Mieli kręcić jakieś niskobudżetowe romansidło. Toria robiła za gwiazdę. Talentu nie miała za grosz, ale była młoda, atrakcyjna i desperacko pragnęła sławy. Kiedy usłyszała, że w tysiącletnim pałacu wzniesionym na nadmorskich skałach mieszka samotny książę, postanowiła go uwieść.

Zapatrzył się na morze, krzywiąc usta w wyrazie gorzkiej ironii.

- Byłem wtedy w armii. Zanim przyjechałem na przepustkę, Toria zdołała już wbić Girardowi do głowy, że jest miłością jego życia. Nie miała z tym najmniejszego problemu. Mój brat był typem nieśmiałego samotnika i uwielbienie o piętnaście lat od niego młodszej, pięknej kobiety sprawiło, że stracił rozsądek. Zanim włożył jej obrączkę na palec, zdołała go przekonać, że prawo prywatności jest niesprawiedliwe i krzywdzące. Dla niej, początkującej aktorki, odizolowanie od mediów oznaczało zawodową śmierć, a on chyba nie chciał jej unieszczęśliwić? Girard był gotów zrobić dla niej wszystko, nie protestował więc, kiedy zamieniła Montéz w medialny cyrk. Pławiła się w blasku fleszy, wlokła go z jednej gali na drugą... ale chyba całkiem zapomniała o swoich planach dotyczących kariery, bo konsekwentnie odrzucała wszystkie propozycje pracy. Girard nie widział, że żona nim manipuluje. Próbował pogodzić swoje obowiązki wobec kraju z jej oczekiwaniami i robił się coraz bardziej zmęczony. Aż wreszcie pewnego dnia... Akurat przypadała rocznica śmierci naszej matki i jak co roku w pałacowej kaplicy miało się odbyć nabożeństwo za spokój jej duszy. Toria dostała zaproszenie na pokaz mody w Nowym Jorku i koniecznie chciała być tam z Girardem. Płakała, krzyczała i tupiała nóżkami

tak długo, aż wreszcie się zgodził. Toria pojechała do Nowego Jorku z samego rana, twierdząc, że nie ma ochoty brać udziału w nabożeństwie, bo religia to mroczny, średniowieczny przesąd. Mój brat oczywiście został, a potem wsiadł w prywatny samolot i poleciał do Stanów. Tak bardzo chciał zadowolić żonę, że przecenił własne siły. Kiedy jechał z lotniska do miasta, zasnął za kierownicą. - Leon zacisnął usta, a jego oczy pociemniały z bólu. - Toria dowiedziała się o wypadku, ale na pokaz mody i tak poszła. Dopiero następnego dnia zaczęła odgrywać przed paparazzimi omdlewającą z rozpaczy wdowę. Za to przedstawienie mogłaby dostać Oscara. Wprowadziłem prawo prywatności głównie po to, żeby położyć kres jej wybrykom. Kiedy dziennikarze zniknęli i nie miała już komu pozować do zdjęć, obraziła się i wyniosła z wyspy.

- Tak mi przykro - szepnęła Cally, odruchowo przykrywając dłonią rękę Leona. - Przysięgam ci, że ta notatka w gazecie pojawiła się w wyniku nieporozumienia. Możesz mi wierzyć, że taka niedyskrecja się już nie powtórzy.

Nie cofnął dłoni. Przez chwilę patrzył na nią z wyrazem dziwnego napięcia w oczach, wreszcie odetchnął głęboko, jakby podjął jakąś decyzję.

- To dobrze, że rozumiesz, jak ważna jest dyskrecja - powiedział, sięgając po dzin-sy. - Jako moja kochanka, musisz bardzo skrupulatnie przestrzegać tej reguły.

- Jako... kto? - Uniosła głowę.

- Moja kochanka. - Powoli wymówił sylaby, jakby zwracał się do nierozgarniętego dziecka, wyraźnie zirytowany, że musi powtarzać.

Zerwała się i cofnęła o krok. W jej ogromnych oczach była pustka.

Jego kochanka? Książęca nałożnica?

- Nie pamiętam, żebym się zgodziła odgrywać w twoim życiu tę rolę - powiedziała zbielełymi wargami.

Zmierzył wymownym spojrzeniem jej splątane włosy, wciąż niedopiętą na plecach sukienkę i koronkową bieliznę, która leżała na podłodze u jej stóp.

- Myślę, że twoje czyny powiedziały więcej niż słowa - wymruczał. - Chyba że po prostu brałem udział w pokazie nowych technik pracy konserwatora? Muszę przyznać, że czuję się wspaniale... odrestaurowany.

- Masz rację, że unikasz prasy - syknęła w odpowiedzi. - Bywasz tak ordynarny, że gdyby cię zacytowano, poddani zwątpiliby w to, że w twoich żyłach płynie książęca krew.

Leon drgnął, jakby go uderzyła, i pobałdł wyraźnie. Zaraz jednak przywołał na twarz ironiczny uśmiech.

- Myślałem, że cenisz szczerość. Wolałabyś, żebym ci opowiadał sentymentalne bajeczki?

- Nie jestem sentymentalna - wydusiła przez ściśnięte gardło, podchodząc do okna. Nie chciała, żeby widział, jak walczy ze łzami.

- Skoro nie jesteś sentymentalna, nie udawaj cnotki - rzucił. - Musiałaś się chyba domyślać, dlaczego pracę nad dyptykiem Rénarda zaproponowałem tobie, a nie jakiemuś brzuchatemu profesorowi w okularach jak denka od butelek? Zrobiłem to z tego samego powodu, dla którego ty przyjęłaś moją propozycję. Bo oboje przeczuwaliśmy, że kiedy wreszcie znajdziemy się w łóżku, seks będzie... *fantastique*.

Cally wbiła wzrok w majaczące w mroku spienione grzbiety fal. Nakazała sobie nie myśleć o niczym, tylko patrzeć i oddychać. Musiała przezwyciężyć ból, który wywoływały jego słowa, miażdżące niby wielotonowe głązy.

Nie powinna się tak przejmować. Przecież miał rację - seks był fantastyczny. Ale świadomość, że wybrał ją jak niewolnicę na targu... że miał gdzieś jej konserwatorskie umiejętności, a praca nad *Miłością ku morzu* była tylko pretekstem, żeby ją zwabić do łóżka... była nie do zniesienia. Cally bezskutecznie walczyła o oddech. Na czoło wystąpiły jej krople zimnego potu, a nogi nagle stały się niebezpiecznie miękkie. Ciężko oparła się o chłodną szybę.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła.

Kiedy kolejna błyskawica, jaśniejsza niż wszystkie poprzednie, rozerwała horyzont, Leon poczuł zimny dreszcz na plecach.

- A jednak nadal mnie pragniesz - powiedział, podchodząc do niej. - Pożądanie jest jak dzikie zwierzę, Cally. Raz uwolnione, nie pozwoli się więcej poskromić.

Obróciła się ku niemu gwałtownie, a zielona suknia zawirowała wokół jej bosych nóg.

- Przykro mi, że muszę cię rozczarować, Leon, ale to zwierzę właśnie uciekło - syknęła i biegiem wypadła z pracowni.

Odprowadził ją jego cichy śmiech.

Nadeszły długie, szare dni. Cally od świtu do nocy tkwiła w pracowni i próbowała się zmusić do konstruktywnego działania. Z uporem przepędzała każdą myśl o Leonie i o namiętności, którą dzielili tu w burzową noc...

Na początku walka ze wspomnieniami pochłaniała wszystkie jej siły. Mijała godzina za godziną, a ona tkwiła przed sztalugami, pogrążona w dziwnym, bolesnym letargu, albo miotła się niepotrzebnie od mikroskopu do komputera, nie wiedząc, po co właściwie to robi. Praca nad konserwacją obrazu nie posuwała się, a Cally popadała w coraz większą frustrację. Tłumaczyła sobie, że powinna się cieszyć, że Leon nie szuka jej towarzystwa, tylko na całe dni opuszcza pałac i udaje się dokądś w swoich książących sprawach. Prawda jednak była taka, że tęskniła do niego każdym nerwem ciała.

Powoli, bardzo powoli, przyszło ukojenie. Błogosławione chwile całkowitego skupienia na pracy zaczęły przeważać nad momentami, kiedy emocje wymykały się spod kontroli i zadrećzały ją. Magia *Miłości ku morzu* wypełniała Cally twórczą energią, wprowadzała w stan głębokiej koncentracji, pewnie prowadziła jej dłoń. Gdy wreszcie przebiła się przez najzłudniejsze etapy pracy, polegające na zbadaniu głębokości ubytków i określeniu składu chemicznego farb i werniksu, z dreszczem ekscytacji zaczęła przygotowywać się do ostatniej fazy konserwacji. Teraz musiała otworzyć umysł i dać się ogarnąć atmosferze obrazu, użyć swoich rąk artyście, tak by odtworzone przez nią fragmenty idealnie zlały się z oryginałem.

Gdy już rozrobiła farby, pod mikroskopem kontrolując ich odcień oraz gęstość, i przygotowała zestaw pędzli z naturalnego włosia, stanęła przed obrazem i zamknęła oczy. Każdy najdrobniejszy szczegół kompozycji miała wyryty w pamięci. Opuściła swobodnie ramiona, odetchnęła głęboko. Czekala, aż ogarnie ją spokojna pewność, że nie popełni błędu.

Poczuła jednak coś innego. Całe jej ciało zawibrowało nagłą potrzebą przestrzeni i swobody. Zrozumiała, że nie może wziąć do ręki pędzla, dopóki... dopóki nie doświadczy tego, co przeżywała kobieta na obrazie. Musiała odrzucić wszystko, co ją krępowało,

i nawet jeśli się bardzo bała tego kroku, musiała się zmierzyć z żywiołem. Uniosła powieki i cofnęła się o krok. Kobieta z obrazu spoglądała na nią pytająco, ponagląco. Przełamując niepewność, Cally otworzyła drzwi.

Od czasu, gdy nawałnica przygnała chmury, niebo pozostawało zasnutę. Tego dnia po raz pierwszy słońce zaczęło się przebijać przez mgłę, budząc na wciąż jeszcze rozhuśtanym morzu srebrzyste blaski. Wilgotne, ciepłe powietrze pachniało deszczem i morską solą. Cally powoli zdjęła koszulkę i spodnie, wysunęła stopy z sandałów i stanęła boso na chłodnym kamieniu. Zawahała się, a potem szybko sięgnęła do zapięcia stanika i uwolniła piersi. Chwilę później na ziemię sfrunęły białe majteczki. Cally, zupełnie naga, ruszyła ku morzu. Wiatr pieścił jej ciało łagodnymi muśnięciami, budząc w niej jakąś dawno zapomnianą, dziecięcą radość. Na krawędzi skały zatrzymała się na moment i odetchnęła głęboko. Srebrzyście lśniące miękkie fale biegły ku niej, rozbijały się pienieście u jej stóp. Cally zaczerpnęła tchu, wyprostowała się i skoczyła. Woda wzięła ją w chłodne objęcia. Poddała się jej, pozwoliła unieść i zaczęła rozgarniać fale ramionami, dostosowując swój oddech do oddechu morza. Płynęła, dopóki starczyło jej sił, a potem przekreśliła się na plecy. Fale podawały ją sobie, kołysały, to unosząc ku bladej, zamglonej kuli słońca, to ukrywając w przepastnych, wodnych dolinach. Cally czuła się lekka i swobodna. Morze uciszyło niepokój, zabrało lęk. Kiedy zaczęła płynąć z powrotem ku wyspie, jej duszę wypełniała dzika pieśń o mocy i wolności.

Nie była zaskoczona, gdy zobaczyła na brzegu znajomą sylwetkę wysokiego mężczyzny. Jej serce wyrwało się do niego. Potężne przecucie, że patrzy na swoje przeznaczenie, nie mogło jej mylić. Świat wokół niej był piękny, ale dopiero jego obecność nadawała mu sens. Wynurzyła się i wspięła po drabince na skały, a on patrzył, jak strumyczki wody spływają z jej włosów, srebrzystymi liniami obrysowują jej delikatne ramiona, krągłe piersi i zmysłowy łuk bioder. A potem świat przestał istnieć, były tylko ich ramiona wyciągające się ku sobie, ich usta szukające się gorączkowo i odnajdujące z niemym westchnieniem ulgi, ich cichy, szczęśliwy śmiech, gdy Leon brał Cally na ręce, nie dbając o to, że morska woda zniszczy jego kosztowny garnitur. Kiedy niósł ją ku otwartym drzwiom pracowni, słońce przebiło się przez chmury i złożyło na ich głowach swój złocisty pocałunek.

Kobieta na obrazie nie odwróciła wzroku; jej spojrzenie towarzyszyło Cally, gdy bez lęku wychodziła naprzeciw przeznaczeniu.

Pragnienie poprowadziło ich do miejsca poza czasem i przestrzenią, gdzie ciała i dusze zlały się w jedno, a rozkosz, którą wspólnie odkryli, rozbłysła niczym supernowa na ich własnym, prywatnym niebie.

- Nie chciałaś być moją kochanką. Oburzyłaś się, kiedy cię tak nazwałem - odezwał się Leon długą chwilę później, gdy wrócili do rzeczywistości i złapali oddech. - Dlaczego, Cally?

Uśmiechnęła się sennie, czując dotyk jego warg na skroni. Podniosła się na łokciu i spojrzała mu w oczy.

- Dlaczego? - Zamilkła na chwilę. Nie chciała niszczyć kruchej bliskości, którą właśnie odnaleźli, zbywając jego pytanie jakąś gładką, pustą odzywką. Była już zmęczona grą. Jak powietrza potrzebowała prawdy. - Wiesz, Leon, ja chyba po prostu mam za mało doświadczenia w tych sprawach, żeby spokojnie pozwolić się zaszufadkować jako kochanka... nawet twoja... Możesz się ze mnie śmiać, ale przed tobą w moim życiu był tylko jeden mężczyzna. Ładnych parę lat temu.

Jej słowa powoli torowały sobie drogę do jego świadomości, burząc wszystkie fałszywe opinie, jakie zdążył sobie wyrobić na jej temat. Nagły dreszcz, który przeniknął go na wskroś, nie wynikał z zaskoczenia jej słowami, ale ze zdumienia, że tak długo nie widział oczywistej prawdy.

Cally Greenway nie miała ukrytych zamiarów. Nie planowała wykorzystać zlecenia dla zdobycia łatwej sławy. Czy, gdyby tak było, pracowałaby nad obrazem po kilkanaście godzin dziennie? Czy zarywałaby noce pochylona nad mikroskopem albo wpatrzona w ekran komputera? Wielokrotnie w ciągu ostatniego tygodnia zaglądał do pracowni, a ona w ogóle go nie zauważała. Stojąc na progu, obserwował, jak Cally marszczy w skupieniu ciemne brwi, przyglądając się rysunkom, którymi wypełniała szkicownik. Jej drobne, zdolne dłonie poruszały się szybko i pewnie, kiedy mieszała farby, wypróbowywała ich kolor i ćwiczyła pociągnięcia pędzla, by niczym się nie różniły od tych wykonanych przez artystę. Był pod wrażeniem jej całkowitego oddania pracy. Przekonał się, że nie kłamała, gdy mówiła o swojej fascynacji *Miłością ku morzu*. Bardzo wyraźnie

widział tę fascynację w jej oczach, gdy, idealnie skoncentrowana, prowadziła niemy dialog z dziełem sztuki.

Teraz także nie kłamała. Leon poczuł niemiłe ukłucie wyrzutów sumienia. Dlaczego od początku uparł się, żeby ją podejrzewać o wszystko co najgorsze? Życie spowodowało, że stał się cyniczny. Zbyt cyniczny. Z góry założył, że Cally jest wyrachowaną uwodzicielką, i nie raz okazał jej to w przykry sposób. Tyle łowczyń fortun kręciło się wokół jego brata, a potem wokół niego, że chyba zupełnie stracił wiarę w istnienie szczerych, niewinnych kobiet. Takich, które nie udawały uczuć i nie używały swego ciała jako argumentu przetargowego. Takich, które miały w życiu inne ambicje, niż tylko dotarcie do sławy i pieniędzy drogą na skróty. Więc kiedy spotkał jedną z nich, w każdym jej geście wietrzył podstęp, mimo że widział szczerzy zachwyty w jej oczach, gdy tańczyli razem w londyńskim barze. Widział jej zawstydzenie, kiedy zdjęła dla niego sukienkę, i autentyczne zdumienie, gdy przeżywała pierwszy w życiu orgazm.

W głębi duszy chyba zawsze wiedział, że ma do czynienia z delikatną, romantyczną istotą. Może dlatego czuł wobec niej taki... respekt. Niestety, wolał sobie wmawiać, że jest interesowna i zepsuta i z uporem wynajdywał preteksty, żeby wciąż jej coś zarzucać. Czy miał jeszcze szansę jej to wynagrodzić?

- Kim był twój pierwszy mężczyzna? - spytał, odnajdując jej wzrok. - Narzeczo-
nym? Mężem?

Hiacyntowe oczy zasnuł cień.

- Och, nie. David bynajmniej nie planował poprosić mnie o rękę. - Uśmiechnęła się, ale w jej głosie była gorycz.

- Lecz robił ci nadzieje, a ty mu ufałaś i wierzyłaś, że ma poważne zamiary - domyślił się Leon.

Z niechęcią skinęła głową.

- Byłam naiwna. Powinnam się była od razu zorientować, że... nie spełniam podstawowych warunków, jakie stawiał poważnym kandydatkom na żonę.

- Co masz na myśli?

- David pochodził z arystokratycznej rodziny. Był niezwykle dumny z tytułu hrabiego, jaki nosił jego ojciec. Poznałam go w wakacje po pierwszym roku studiów. Od-

bywałam praktyki przy renowacji jednej z posiadłości hrabiego i wpadłam w oko jego synowi. Zresztą, ze wzajemnością. Byłam wtedy nieprawdopodobnie naiwna, a David pozował na romantycznego młodzieńca, pełnego ideałów. Mówił, że mnie kocha. Nasz flirt zamienił się w coś poważniejszego i zaczęłam marzyć o życiu u jego boku, choć przecież na pierwszy rzut oka było widać, że to dla mnie za wysokie progi. Ale ja wierzyłam, że nasza miłość przewycięży wszelkie przeszkody. Miłość, akurat! Chciał po prostu zaciągnąć mnie do łóżka, zaliczyć nieśmiałą studentkę, która wierzyła we wszystkie bajeczki, jakie jej opowiadał. Musiał mieć ze mnie niezły ubaw. Ciągnął to prawie rok. Łuski spadły mi z oczu dopiero, gdy spotkałam... jego prawdziwą narzeczoną! Okazało się, że był zaręczony z pewną Amerykanką, dziedziczką naftowej fortuny. Nie uznał jednak za stosowne wspomnieć mi o tym drobiazgu. Potem on wrócił do swojego życia, a ja... musiałam pogrzebać moje dziewczęce złudzenia. Wiem, jakie to żalosne, ale byłam tak zdruzgotana, że zawałam studia. Powrót do życia zajął mi dwa lata.

- Dupek. - Leon wykrzywił usta, jakby chciał wypluć coś paskudnego. - Skończony dupek. Nie dość, że cię wykorzystał, to jeszcze musiał być naprawdę beznadziejnym kochankiem.

- Uważał, że to ze mną jest coś nie tak. - Cally spuściła oczy. - Zarzucał mi, że jestem oziębła. Raz powiedział nawet, że mam szczęście, że trafiłam na niego, bo żaden inny facet nie miałby do mnie cierpliwości. Milczałam, choć coś mi się nie zgadzało. David nie był cierpliwym człowiekiem. A już na pewno nie w łóżku... - Głos się jej załamał. Próbowwała się roześmiać, ale nie mogła. Nagły, dławiący ból chwycił ją za gardło. Zacisnęła powieki, z całych sił próbując powstrzymać drżenie warg... i przegrała. Kiedy z jej piersi wyrwał się bezgłośny szloch, a po policzkach popłynęły łzy, odwróciła się gwałtownie. Zanim jednak zdążyła zerwać się z kanapy i uciec, zawstydzona wybuchem emocji, który zupełnie ją zaskoczył, poczuła, że Leon obejmuje ją i mocno przytula do piersi.

- Ten żalorny kretyń nie umiał docenić szczęścia, jakie go spotkało - powiedział cicho, gardłowo. - Cally, ty nie jesteś ani trochę oziębła. Jesteś wrażliwa, odważna, pełna wyobraźni... Kochać się z tobą, to tak, jakby podziwiać niewiarygodnie piękne dzieło sztuki.

Milczała, przepelniona wzruszeniem. Cudownie było móc się wtulić w jego ramiona i poczuć, jak mija ból, który od lat czał się gdzieś na dnie jej serca.

- Teraz rozumiem lepiej, dlaczego tak gwałtownie zareagowałaś, kiedy zaproponowałem ci, żebyś została moją kochanką - mówił dalej. - Zrozum, nie miałem nic złego na myśli. Po prostu było mi z tobą tak wspaniale, że chciałem, żebyśmy zawarli jakiś bardziej stały układ, satysfakcjonujący nas oboje. Popełniłem błąd, bo najpierw powinienem był zapytać, czego ty pragniesz. Co będzie z nami dalej, Cally?

Milczała długo, wpatrując się w niego uważnym, nieodgadnionym spojrzeniem. Rozejrzała się po pracowni, jakby po raz pierwszy znalazła się w tym miejscu. Wreszcie jej wzrok spoczął na dyptyku Rénarda.

- Chcę nadal pracować nad *Miłością ku morzu* - powiedziała powoli, z namysłem ważąc słowa. - Na tych samych zasadach, co do tej pory. I chciałabym też, żeby to, co jest między nami - ton jej głosu złagodniał, usta drgnęły w bezwiednym, czułym uśmiechu - trwało, dopóki może. Ale nie próbujmy tego zamykać w żadnych racjonalnych ramach, nie próbujmy ustalać reguł. Wykorzystajmy dany nam czas i po prostu cieszmy się sobą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Rozkosznie wyciągnięta na deskach pokładu niewielkiej żaglowej łodzi, Cally miała ochotę mruzczyć jak kotka. Słońce trzymało ją mocno w swoich gorących objęciach, malując złociste, abstrakcyjne obrazy pod jej przymkniętymi powiekami, a morze kołysało swoim potężnym oddechem. Uśmiechnęła się sama do siebie. Po kilku godzinach intensywnej nauki nurkowania należała jej się chwila słodkiej beczynności.

Ostatnie tygodnie były niewiarygodnie piękne. Cally czuła się tak, jakby otworzył się przed nią całkiem nowy świat. Świat, w którym każda chwila tętniła radością, każde przeżycie było intensywne, nasycone zmysłową rozkoszą niczym soczystą barwą. Krótkie, letnie noce spędzali w sypialni Leona położonej wysoko w pałacowej wieży, wysuniętej najdalej w stronę morza. Wstawali o świcie, naładowani radosną energią, choć na sen przeznaczali naprawdę niewiele godzin, jedli śniadanie, patrząc, jak złota tarcza słońca wynurza się z szafirowych wód, a potem rozchodzili się do swoich zajęć.

Praca nad obrazem posuwała się nadspodziewanie szybko. Kiedy rankiem Cally stawiała przed sztalugami, beztrioskie uczucie zaspokożenia przemieniało się w twórczy zapał. Jej myśli były jasne, a dłonie pewne. Zmiany w wyglądzie płótna zaczynały być widoczne gołym okiem. Zniknęła wierzchnia, zniszczona warstwa, przesłaniająca obraz niczym brudny, szary woal. Kontury nabierały ostrości, kolory ożywały. Z każdą godziną, z każdym pociągnięciem pędzla, nieuchronnie zbliżał się moment, kiedy *Miłość ku morzu* odzyska swój pełen blask. A wtedy jej pobyt na Montéz dobiegnie końca.

Montéz... to było, jej zdaniem, najpiękniejsze miejsce na ziemi. Na początku pobytu, gdy trema i niepewność trzymały ją zamkniętą w pracowni, nie miała okazji docenić uroku tutejszych krajobrazów. Ale Leon postarał się, żeby szybko nadrobiła zaległości. Po pracy, kiedy gorące popołudnia zamieniały się w długie, złociste wieczory, zabierał Cally na wyprawy krętymi drogami, które prowadziły wysoko na stoki wznoszących się nad morzem gór. Jeździli też do miasta, żeby się przechadzać brukowanymi uliczkami malowniczych, średniowiecznych dzielnic, z wąskimi kamieniczkami i górującą nad nimi wspaniałą romańską bazyliką. Pokazał jej kolorowy targ, na którym sprzedawano miejscowe specjały, i tętniący życiem port. Wracali do pałacu po zmroku, a rozpromieniony

Boyet podawał im kolację. Jedząc, rozmawiali o wszystkim i o niczym, jak najnormalniejsza na świecie para. Unikali tylko jednego tematu - relacji, która ich łączyła.

- Wiesz, niedługo skończę konserwację obrazu. - Cally uniosła się i spojrzała na Leona stojącego za kołem sterowym. Miała nadzieję, że jej głos brzmi tak lekko i beztrosko, jak sobie tego życzyła. - Cieszysz się?

- Oczywiście. - Ustalił właściwy kurs, a potem usiadł obok niej na pokładzie. - Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę *Miłość ku morzu* tak piękną, jak w chwili, gdy wyszła spod pędzla Jacques'a Rénarda.

- Ja też. - Położyła mu głowę na kolanach. Jej oczy odnalazły jego spojrzenie. - Ale trochę smutno mi na myśl, że będę musiała stąd wyjechać. Wiesz, dzisiaj rano odezwało się do mnie jedno z paryskich muzeów z propozycją pracy. Chcą, żebym dołączyła do ekipy konserwatorów, która w przyszłym miesiącu zacznie pracę nad ich nową kolekcją płócien prerafaelitów.

- Gratuluję, pani doktor. - Uśmiechnął się Leon, odgarniając wilgotne włosy z jej czoła.

- Myślałam, że może troszeczkę się zmartwisz tym, że nasz romans nieodwołalnie zmierza ku końcowi - wyszeptala, odwracając wzrok.

- Nieodwołalnie? - Uniósł brwi. - Podróż z Montéz do Paryża trwa tylko parę godzin. A w naszym przypadku nawet krócej, bo miałaś szczęście i trafiłaś na majątnego faceta z własną awionetką. Możemy wykorzystywać każdy weekend.

Jej oczy zogromniały z zaskoczenia, a potem rozbłysły nieskrywaną radością.

- Chciałbyś nadal się ze mną spotykać?

- Dlaczego nie? Dopóki to co się między nami dzieje, odpowiada nam obojgu, możemy chyba przedłużyć przyjemność?

Przedłużyć, zupełnie jak wypożyczenie książki w bibliotece, odezwał się jakiś złośliwy głosik w jej głowie. Zmrużyła oczy.

- Załóżmy, że będziemy się widywać w weekendy. A kto będzie z tobą sypiał od poniedziałku do piątku?

Wyraźnie się zachnął.

- Nie będzie żadnej innej kobiety. Masz moje słowo.

Chciała mu uwierzyć. Chyba nigdy niczego nie pragnęła bardziej.

- Dlaczego miałbyś się ograniczać ze względu na mnie? - spytała ostrożnie. - Zgodziliśmy się przecież na układ bez żadnych zobowiązań.

- Dlaczego? - zamilkł, szukając słów.

Niewysoka fala łagodnie kołysała łodzią, a słońce zalewało ciepłym złotem morze, łódź i kobietę, która ufnie położyła głowę na jego kolanach.

Wilgotne kosmyki gęstych włosów rozsypały się dookoła jej twarzy, lśniąc brązem i miedzią. Na jasnej skórze jej policzków, ramion i dekoltu pojawiły się piegi, delikatne niczym pocałunki słońca. Pochylił się i dotknął ustami jej warg, ciepłych, miękkich i wciąż słonych po morskiej kąpieli. Była najpiękniejszym stworzeniem, jakie w życiu widział. Na myśl o tym, że mógłby ją stracić, ogarniało go przerażenie.

Dlaczego akurat Cally Greenway? Dlaczego ona? Spotykał się przecież z mnóstwem kobiet, które były o wiele bardziej efektowne niż ta rudowłosa Brytyjka. Jednak po wszystkich jego poprzednich przyjaciółkach pozostało mu tylko mgliste wspomnienie przesadnie chudych nóg, wymęczonych na siłowni ciał, którym właścicielki nie pozwalały na najmniejszy przejaw naturalności, i twarzy, którym gruba warstwa makijażu odbierała jakikolwiek wyraz. Jeśli któraś dała się namówić na wyprawę łodzią, zazwyczaj życzyła sobie, żeby popłynęli prościutko do Saint Tropez i tam paradowała po zatłoczonym deptaku, od butików do butików. Kiedy opalały się na pokładzie, piszczwały z oburzenia, gdy wyższa fala, rozbijając się o burtę, opryskała ich pracowicie ułożone fryzury. Leon westchnął ciężko. Dlaczego skazywał się na tak męczące i nudne towarzystwo? Pewnie dlatego, że nie znał wtedy jeszcze Cally Greenway, która makijażu nie robiła sobie wcale, bo przeznaczala czas na ciekawsze zajęcia, a dzinsy warte kilkaset euro bez wahania przerobiła na krótkie spodenki za pomocą nożyczek do paznokci. Cally, która była namiętna i hojna w dawaniu mu przyjemności, lecz za każdym razem, gdy doprowadził ją na szczyt rozkoszy, wtulała się w niego i szeptała do jego ucha ciche, zdyszane „dziękuję”. Kiedy zaproponował, że nauczy ją nurkować, żeby mogła obejrzeć podwodny świat, ucieszyła się jak dziecko. A gdy wrócili na łódź, nie pobiegła do kajuty, żeby nakładać make-up i prostować włosy jakąś maszyną z piekła rodem, tylko z błogim westchnieniem

wyciągnęła się wprost na nagranych słońcem deskach pokładu, a w jej hiacyntowych oczach lśniło czyste szczęście.

- Dlatego, że nigdy w życiu nie pragnąłem żadnej kobiety tak jak ciebie - powiedział wreszcie. - I nie jestem gotów pozwolić ci odejść.

Dokładnie pięć dni później Cally po raz ostatni dotknęła pędzlem płótna, cofnęła się i objęła wzrokiem obraz. Poczowała potężny dreszcz wzruszenia, patrząc na *Miłość ku morzu*. Tak musiał wyglądać obraz, kiedy mistrz Rénard składał na nim swoją sygnaturę. Zawsze była przejęta, kiedy patrzyła na dzieło sztuki, któremu przywróciła dawny blask, ale tym razem emocje były silniejsze. Cally czuła, że dotarła do kresu drogi, którą uparcie podążała od lat. Wypełnił się jakiś etap jej przeznaczenia.

Nie mogła się doczekać, kiedy Leon wróci z miasta, a ona pokaże mu odrestaurowane arcydzieło. Wiedziała, że tego dnia pojechał doglądać jakichś pilnych spraw na uniwersytecie i miał wrócić najwcześniej o drugiej po południu. Zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza. Skoro miała jeszcze ponad godzinę czasu, może powinna wreszcie wybrać się do samoobsługowej apteki w mieście i kupić test ciążowy. Co prawda, okres spóźniał się dopiero tydzień i z pewnością można to było wytłumaczyć zmianą klimatu, diety i trybu życia, ale Cally wołała rozwiązać wszelkie wątpliwości.

Nie, na pewno nie była w ciąży. Czuła się przecież zupełnie normalnie, może chwilami trochę sennie, ale temu trudno się było dziwić, zważywszy, że nocami ją i Leona pochłaniały ciekawsze zajęcia niż spanie.

A jeśli jednak była...? Nieśmiało, niespodziewane poczucie szczęścia rozkwitło ciepłem w jej podbrzuszu. Nie potrafiła martwić się tą perspektywą. Jeśli okazałoby się, że nosi pod sercem dziecko Leona, przyjęłaby tę wiadomość ze spokojem i radością, jak najnaturalniejszą rzecz pod słońcem.

Słyszając odgłos kroków w korytarzu, uśmiechnęła się szeroko.

- Skończyłam! - zawołała triumfalnie, biegnąc na spotkanie Leona. - Chodź, zobacz...

Zamarła sekundę przed tym, gdy drzwi otworzyły się z impetem. Leon zwykle chodził bardzo cicho. Nigdy nie stukał obcasami... i nie nosił krwistoczerwonych pantofli na szpilkach jak osoba, która pojawiła się w progu.

Cally, zaskoczona, objęła spojrzeniem suknię w tym samym jaskrawym kolorze co szpilki i włosy spływające lśniąco i idealnie gładką, kruczoczną falą aż do pasa. Nie sposób było nie zauważyć, że kobieta jest w zaawansowanej ciąży. Czerwony materiał sukni podkreślał jej zaokrąglony brzuch.

- W czym mogę pani pomóc? - spytała Cally, podnosząc wzrok, żeby spojrzeć w oczy nowo przybyłej.

Jej twarz zdawała się znajoma, ale skąd? Ułamek sekundy później uświadomiła sobie, że ma przed sobą Torię, wdowę po Girardzie, księciu Montéz. Leon opowiedział jej o Torii dużo niezbyt pochlebnych rzeczy, nie wspomniał jednak ani słowem, że spodziewała się dziecka.

- Szukam Leo. - Czarnowłosa kobieta zmierzyła Cally byстрыm spojrzeniem i skrzywiła usteczka w wyrazie politowania.

- Domyślam się, że mam przyjemność z panią Torią Montailler. - Cally zmusiła się do uśmiechu.

- A ja się domyślam, że pani jest najnowsza zdobyczą drogiego Leo - powiedziała Toria powoli, wbijając wzrok w ubranie Cally z taką miną, jakby jeszcze nigdy w życiu nie widziała poplamionych farbą ogrodniczek. - Jakie to... wielkoduszne z jego strony, że panią przygarnął. No więc, gdzie on jest? Pewnie jak zwykle siedzi w wodzie? - Z niecierpliwością machnęła ręką w stronę wielkiego okna oddzielającego pracownię od morską brzegu. - Proszę go zawołać!

Cally poczuła, że narasta w niej bunt. Uprzejmość wobec osób, które otwarcie nią pogardzały, nie była jej mocną stroną.

- Przykro mi, ale księżę jest w mieście. Nie mam pojęcia, kiedy wróci. Z tego, co wiem, może go nie być do późnego wieczora.

- Coś podobnego! - Toria pokręciła głową, zirytowana. - W moim stanie nie mogę przecież tkwić tu godzinami, czekając, aż się łaskawie pojawi.

- Może mogłabym mu coś przekazać? - podsunęła Cally, zadowolona, że Toria zbiera się do odejścia.

- Och, jak najbardziej. - Czarnowłosa uśmiechnęła się słodko. - Niech mu pani powie, że jestem w ciąży. Spodziewam się narodzin następcy tronu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tłumiąc okrzyk zaskoczenia, Cally mimowolnie spojrzała na wydatny brzuch Torii. Jak to możliwe? W głowie miała pustkę, miłosierną pustkę, która blokowała okrutną myśl, że istnieje tylko jedna odpowiedź na to pytanie.

Girard nie żył już od dwóch lat.

- Nie chce pani chyba powiedzieć, że księżę Leon... - wyjąkała bezradnie.

Szok, niedowierzanie i odraza podeszły jej do gardła falą mdłości.

Cienkie brwi Torii podskoczyły do góry i przez moment, krótki jak mgnienie, wyglądała na zdumioną. Zaraz jednak przywołała na twarz wyraz determinacji i gorzkiego triumfu.

- Oczywiście, że Leon jest ojcem. A któżby inny?

- Ale... jak to możliwe? - Cally poczuła, jak jakaś lodowata dłoń zaciska się na jej gardle, dławiąc oddech i odbierając siły. Przed jej oczami zawirowały czarne punkty. Walcząc z eksplodującym pod czaszką rwącym bólem, osunęła się na kanapę.

- Jak? - powtórzyła Toria, przyglądając się pobladłej twarzy Cally z wyraźną przyjemnością. - Tego nie muszę chyba pani tłumaczyć, prawda? Obie wiemy, że Leon Monttailler jest mężczyzną, któremu niełatwo się oprzeć... - Urwała i westchnęła dramatycznie. - Mój błąd polegał na tym, że gdy zaczął mnie uwodzić, uwierzyłam w jego szlachetne intencje. Myślałam naiwnie, że uszanuje wdowę po swoim bracie i potraktuje mnie jak uczciwą kobietę. Niestety, myliłam się. Wykorzystał moją słabość, mój ból... Zresztą, jak się łatwo domyślić, nie byłam jego jedyną ofiarą, ale na wyspie nikt nie ośmiela się głośno powiedzieć, jaka jest prawda o księciu. Prawo prywatności zapewnia mu całkowitą bezkarność.

Cally wydała z siebie głuchy jęk. Nie miała siły podnieść głowy, bała się spojrzeć w oczy Torii. Atak mdłości nie chciał minąć.

- Na pani miejscu, moja droga, wzięłabym nogi za pas, zanim nasz drogi księżę zrobi pani dziecko, a potem zostawi panią na lodzie. - Toria przechyliła głowę i zmarszczyła brwi. - Ale coś mi się wydaje, że na tę radę jest już za późno. Nie wygląda pani najlepiej...

- Nic... nic mi nie jest.

- To bardzo mnie cieszy. Proszę nie zapomnieć przekazać mu wiadomości ode mnie. Zrobiłabym to sama, ale... odkąd postanowił pozbyć się mnie ze swojego życia, nie odbiera moich telefonów. I proszę zadbać o siebie. Nie musi mnie pani odprowadzać, sama wyjdę.

Stukot obcasów Torii dawno już ucichł w korytarzu, a Cally nadal siedziała na kanapie ze spuszczoną głową, wpatrując się nieruchomym wzrokiem w deski podłogi. To, co przed chwilą usłyszała, nie mogło być prawdą. Toria bezczelnie kłamała, zmyśliła sobie wszystko... No cóż, na pewno nie wszystko. Bez wątpienia była w ciąży. Więc może to raczej Cally pozwoliła się oszukać. Była teraz starsza niż wtedy, kiedy David zabawił się jej kosztem, ale równie głupia. Dlaczego nie mogła się nauczyć raz na zawsze, że pewien typ mężczyzn jest po prostu niezdolny do tego, by traktować kobiety poważnie?

Wtedy oczy otworzyła jej Portia, z ogromnym brylantem lśniącym na serdecznym palcu, a teraz... teraz było gorzej. Cally położyła się na kanapie, podciągnęła kolana pod brodę i zamknęła oczy, pograżając się w pełnej bólu ciemności.

- Nie dziwię się, że jesteś zmęczona - usłyszała nagle.

W niskim, męskim głosie, który tak uwielbiała, pobrzmiwały nuty czułości i dumy. Nie usłyszała, kiedy Leon wszedł do pracowni, nie wiedziała, ile czasu stał, z po-dziwem wpatrując się w *Miłość ku morzu*.

- Jesteś niewiarygodnie zdolna - powiedział powoli. - Dopiero teraz widzę, jak piękny jest ten obraz. Dziękuję, Cally. Nawet nie wiesz, ile dla mnie znaczy to, co zrobi-łaś.

Nie poruszyła się. Patrzyła na Leona szeroko otwartymi oczami, a ciche łzy spły-wały jej po policzkach.

- Co ty na to, żebyśmy uczcili... - Pochylił się nad nią, roześmiany, i raptownie urwał. - Co się stało, Cally?

Powoli, jak osoba osłabiona ciężką chorobą, podniosła się z kanapy.

- Toria tu była - powiedziała z trudem.

- Toria? - Leon zmarszczył brwi. - Czego chciała?

Cally zawahała się. Przekazywanie wiadomości tego kalibru nie powinno być jej rolą. Czy powinna się uśmiechać? Pogratulować szczęśliwemu ojcu?

- Prosiła, żeby ci przekazać, że jest w ciąży. Spodziewa się twojego dziecka - wyrzuciła z siebie. Chciała mieć tę rozmowę jak najszybciej za sobą.

Ku jej zaskoczeniu, Leon parsknął śmiechem.

- Przeszła samą siebie! Opowiadanie bezczelnych kłamstw to jej specjalność, ale coś tak bzdurnego słyszę po raz pierwszy! Widzę, że zrobiła ci przykrość - dodał, poważniejąc. - Nie sądziłem, że tak łatwo dasz się nabrać na jej łgarstwa.

- Na słowo pewnie bym jej nie uwierzyła. - Głos Cally drżał. - Ale trudno mi było zignorować fakt, że jest w zaawansowanej ciąży.

Tak bardzo chciała, żeby Leon się roześmiał. Żeby wygłosił jakiś typowy dla siebie złośliwy komentarz i wykpił jej łatwowierność. Ale on milczał, a na jego nagle poszarzałej twarzy malowała się czysta zgroza. Cally spojrzała mu w oczy, szukając w nich znajomego wyrazu łagodnego rozbawienia, ale zobaczyła tylko martwą pustkę. Pustkę, która była aż nazbyt wymowna.

Sztywno stawiając kroki, ruszyła do drzwi. Nie czuła nic, jakby wraz z nadzieją straciła także wrażliwość na ból. Wiedziała tylko, że powinna spakować swoje rzeczy, opuścić pałac i jak najszybciej wydostać się z wyspy, zostawiając Leona z jego problemem, jaki widocznie stanowiła wiadomość o ciąży Torii. Dla Cally nie było tu już miejsca.

- Dokąd się wybierasz? - W głosie Leona zaskoczenie mieszało się z irytacją.

- Wyjeżdżam. - Zatrzymała się w progu. - Renowację obrazu już zakończyłam, więc sądzę, że teraz mogę swobodnie dysponować moim czasem.

- Rozumiem - warknął. - Toria oczerniła mnie, a ty uwierzyłaś jej bez zastrzeżeń. Nawet podsądnemu przysługuje prawo do złożenia wyjaśnień, ale ty wydałaś wyrok, zanim mnie wysłuchałaś. Co takiego ci zrobiłem, Cally, że potraktowałaś mnie gorzej niż przestępcę?

- Chciałabym ci wierzyć, Leon - powiedziała cicho. - Nie masz pojęcia, jak bardzo bym chciała.

- Ale mi nie wierzysz, bo uważasz, że wszyscy mężczyźni to kłamcy. A ci utytułowani są twoim zdaniem najgorsi. Mógłbym przysiąc, że nigdy nie dotknąłem wdowy po moim bracie, chociaż robiła wszystko, żeby mnie uwieść. Powiedziałem jej, że wolałbym wykluć sobie oczy, niż znieważać w ten sposób pamięć Girarda. Kiedy spróbowała szantażu, opowiadając dziennikarzom o moich rzekomych zalotach, przywróciłem na Montéz prawo prywatności. Dopiero wtedy, widząc, że nic nie wskóra, wyniosła się z wyspy. - Zamilkł na chwilę.

- Ale nawet gdybym przysięgał, nie potrafiłabyś mi uwierzyć, prawda? Czy odzyskałbym twoje zaufanie, pokazując ci wyniki badania DNA dowodzące, że nie jestem ojcem dziecka Torii? Może tak, ale na jak długo?

Kiedy nie odpowiedziała, podszedł do okna i wbijając ręce w kieszenie, zapatrzył się w daleki horyzont.

- A może oczekujesz, że padnę przed tobą na kolana i będę cię prosił o rękę? - spytał zimno. - Czy gdybym wsunął ci pierścionek na palec, uznałabyś, że warto mi wierzyć? A musiałbym cię poślubić i zrobić ci dziecko?

- Nie chcę twoich oświadczeń - wyszeptała. Nigdy nawet nie marzyła o tym, że mógłby zechcieć wziąć ją za żonę. Dlaczego więc, kiedy rzucił jej w twarz to pytanie, poczuła się tak, jakby dźgnął ją prosto w serce? - Chcę stąd wyjechać. Między nami... wszystko skończone.

- Czyżby? - Podszedł do niej i z bliska zajrzał jej w oczy. Nie poruszyła się. - Między nami nic nigdy nie będzie skończone, *chérie*. Zbyt gorąco pragniemy siebie nawzajem.

Kiedy uniósł dłoń i wplótł palce w jej włosy nad karkiem, zadrżała, ale nie zaprotestowała ani słowem. Pocałował ją gwałtownie, władczo, jakby kładł na niej swoją pieczęć. Jej usta rozchyliły się w odpowiedzi, a ciche westchnienie, jakie wyrwało się z jej piersi, było wymownym potwierdzeniem jego słów.

Szkoda tylko, że jesteś taki zimny, pomyślała, wymykając mu się i rzucając przez ramię ostatnie spojrzenie na jego sylwetkę, wyprostowaną, ciemną na tle skapanego w słońcu morza.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cztery miesiące później

Paryż da się lubić, pomyślała Cally, z błogim westchnieniem opadając na wiklinowy fotel w ogródku ulubionego bistro. Chętnie przychodziła tu na lunch, żeby cieszyć się widokiem Sekwany wolno toczącej srebrzyste wody pod łagodnymi łukami wiekowych, kamiennych mostów. Niewielka knajpka słyęła z wyśmienitej kuchni, a ona ostatnio nie mogła żyć bez naleśników ze szpinakiem i wędzonym łososiem, popisowego dania Gastona, tutejszego szefa. Pozdrowiła uśmiechem znajomego kelnera i, wystawiając twarz na łagodne promienie słońca, zamyśliła się głęboko.

Nie mogła narzekać na swoje życie. Jej kariera zawodowa nareszcie nabierała rumieńców i Cally miała bardzo satysfakcjonujące poczucie, że długie lata, które spędziła studiując i pogłębiając wiedzę, zamknięta niczym pustelnica w swojej małej pracowni, nie poszły na marne. Dołączyła do międzynarodowego zespołu konserwatorów i, ku jej wielkiemu zaskoczeniu, powierzono jej kierowanie jednym z warsztatów. Przed paroma dniami ukończyła renowację czterech pięknych płócien Rosettiego i muzeum urządziło uroczyste otwarcie wystawy, które, zdaniem Cally, bardziej przypominało wesołą imprezę niż oficjalną galę. Atmosfera w pracy była wspaniała - stymulująca i przyjazna, a po godzinach czekał na Cally Paryż. Mogła przechadzać się po bulwarach nad rzeką, podziwiać ponadczasową smukłość gotyckich wież i spędzać długie godziny w Luwrze, do którego miała stałą przepustkę. Wieczorem wracała do przytulnego mieszkania w starej kamienicy na malowniczej wyspie w centrum Paryża, Île Saint-Louis. Jego właścicielka, przemiła staruszka imieniem Marie-Ange, która mieszkała piętro niżej, uparła się, żeby Cally matkować. Codziennie zapraszała ją do siebie na lipową herbatę i ciasto domowej roboty, a Cally chętnie ją odwiedzała. Starsza pani potrzebowała towarzystwa, a ona - konwersacji po francusku.

Wraz z ciekawą pracą przysłała też poprawa sytuacji finansowej. Odkąd na konto Cally wpłynęło honorarium za konserwację *Miłości ku morzu*, nie musiała się już martwić, jak zwiąże koniec z końcem. Regularne wypłaty, jakie otrzymywała od nowego

pracodawcy, wpłacała na lokatę oszczędnościową i ze spokojem spoglądała w przyszłość.

A przyszłość zapowiadała się... co najmniej ciekawie. Cally była w piątym miesiącu ciąży. Wierzyła, że sobie poradzi, choć czekało ją samotne macierzyństwo. Niczego też nie żałowała - poza jednym.

Nie było przy niej Leona. Nie odezwał się do niej ani razu, odkąd opuściła Montéz. Ona zaś umierała z tęsknoty. Ani nowa praca, ani piękny, romantyczny Paryż, ani nawet upływający czas i rosnące w niej maleństwo nie były w stanie ukoić bólu, sprawić, by zapomniała o tym mężczyźnie. Książę Montéz był miłością jej życia. Choć dobrze wiedziała, że u jego boku nie mogło być dla niej miejsca, głupie serce wciąż snuło romantyczne marzenia.

Nie powiedziała mu o ciąży. Zbyt dobrze pamiętała raniące słowa, które padły między nimi, kiedy się rozstawali. Leon nie chciał dziecka i nie ponosił odpowiedzialności za sytuację, w jakiej Cally się znalazła. Uznała więc, że nie zasłużył na to, by rujnować mu życie taką wiadomością. Nie próbowała szukać z nim kontaktu, choć dni bez niego, nawet najpiękniejsze, zdawały jej się beznadziejnie szare. Poza tym była mu winna przeprosiny. Przed kilkoma tygodniami wszystkie plotkarskie pisma drukowały na pierwszej stronie wiadomość o narodzinach pierworodnego syna Torii Montaigner, wdowy po księciu Girardzie. Śliczny chłopczyk miał skórę koloru czarnej kawy z kroplą mleka, a dumny i szczęśliwy ojciec, zawodowy futbolista, pozował do zdjęć wraz ze swoją partnerką i dzieckiem. A więc Leon nie miał nic wspólnego z tą sprawą, dokładnie tak, jak mówił. Autentyczne przerażenie, które odmalowało się na jego twarzy, kiedy się dowiedział, że Toria jest w ciąży, musiało wynikać z jego organicznej niechęci do posiadania dzieci...

Gdyby ona stanęła przed nim i powiedziała, że nosi jego dziecko, zobaczyłaby na jego twarzy szok i odrazę. A tego by nie zniosła.

Opiekuńczym gestem położyła dłonie na brzuchu i uśmiechnęła się bezwiednie, kiedy poczuła kopnięcie dziecka, nieśmiały, figlarny dotyk, który zdawał się mówić, że nie jest sama i nie powinna się martwić. Oczywiście, że się nie martwiła. Macierzyństwo było wspaniałym doświadczeniem i nie zrezygnowałaby z niego za nic na świecie.

- Czy miejsce obok pani jest wolne?

Oddech w jej krtani zamienił się w palący płomień, każdy nerw ciała zadrżał, jak porażony prądem. Ten głos... rozpoznałaby go zawsze i wszędzie.

Leon.

- Co tu robisz? - wyjąkała, podnosząc na niego spłoszone spojrzenie i odruchowo przysunęła się bliżej do stolika, żeby ukryć krągłość brzucha, której nie maskowały już ubrania.

- Byłem u ciebie w pracy. Pewna uczynna koleżanka powiedziała mi, gdzie mogę cię znaleźć. Podobno to twoja ulubiona knajpka.

- Tak, jada się tu po królewsku. - Uśmiechnęła się niepewnie. - Siadaj i powiedz mi, co cię sprowadza do Paryża.

- A jak myślisz, *chérie*, co takiego mogło mnie tu sprowadzić? - powiedział powoli, mierząc ją mrocznym, przenikliwym spojrzeniem.

Czyżby... wiedział? Nie. Niemożliwe, powtarzała sobie. Skąd mógłby wiedzieć? Nawet swojej siostrze nie powiedziała jeszcze, że spodziewa się jego dziecka.

Leon z trudem powstrzymał się, żeby nie zgrzytać zębami. Czy ta kobieta miała go za skończonego durnia? Naprawdę myślała, że jeśli schowa się za stół, on niczego nie zauważy? Nawet gdyby nie widział zdjęć z otwarcia wystawy, które nie pozostawiały żadnych wątpliwości co do jej stanu, wystarczyłoby mu jedno spojrzenie na nią w tej chwili, by odgadnąć prawdę. Wyraźnie rozkwitała. Choć jej twarz była odrobinę zbyt blada, oczy zdawały się świecić własnym światłem. Malował się w nich nowy, rozmazany wyraz, jakby nosiła w sobie tajemnicę, która nie przestawała jej zachwycać. Jej kształty stały się pełniejsze, a gesty nabrały spokoju i dostojeństwa.

Usiadł powoli, w milczeniu, nie spuszczać wzroku z kobiety, która nosiła jego dziecko.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to on jest ojcem. Mógł oskarżyć Cally o wiele rzeczy, ale na pewno nie o rozwiązłość. Zresztą, naprawdę trudno by jej było znaleźć innego kochanka, gdy przebywała w jego pałacu.

Gdy poprzedniego dnia zobaczył w „Le Figaro” zdjęcia towarzyszące artykułowi o odrestaurowanych obrazach Rosettiego, na których doktor Cally Greenway prezentowała

się ślicznie w szmaragdowej sukience z podwyższoną talią, podkreślającą jej brzusek, krągły jak dojrzewający owoc, opanowała go dzika furia. Była w ciąży. I nie uznała za stosowne poinformować go o tym fakcie. Ta mała, podstępna... chwileczkę. Coś się nie zgadzało. Gdyby Cally zaszła w ciążę podstępnie, po to, żeby zapewnić sobie wiele lat życia w luksusie i próżniactwie, już dawno stawiałaby się przed nim i oświadczyła, że jest matką następcy tronu. A potem, w zależności od jego reakcji, łzami wymogłaby na nim zaręczyny lub szantażem - sumę pieniędzy, która skłoniłaby ją do wycofania żądań. Ona jednak zachowała się zupełnie zaskakująco. Układała sobie swoje skromne życie w Paryżu i najwyraźniej nie miała zamiaru w ogóle powiedzieć mu o dziecku.

- Zamówiłam naleśniki. A ty, na co masz ochotę? - odezwała się, wyraźnie zaniepokojona przedłużającym się milczeniem.

- Niech pomyślę - udał, że się zastanawia. - Chyba na solidną porcję wyjaśnień.

- Słucham? - wyszeptała, spłoszona.

- Chciałbym wyjaśnień - powtórzył cierpliwie. - Dlaczego nie powiedziałaś mi, że będziemy mieli dziecko?

Zamarła, jak przerażone zwierzątko, któremu odcięto wszystkie drogi ucieczki.

- Jak się dowiedziałeś?

- Na pewno nie w taki sposób, jak bym chciał.

Spuściła oczy, a jej policzki pokrył rumieniec wstydu.

- Zdaję sobie sprawę, że miałeś prawo wiedzieć od początku - powiedziała ze skru-
chą.

- Więc dlaczego milczałaś?

- Bo wiedziałam, że nie chcesz dziecka. - Splotła palce tak mocno, że aż pobieleły.

- A ta ciąża jest wynikiem... mojej nieostrożności.

Leon patrzył na nią, zamyślony. Przed czterema miesiącami, na Montéz, czuł się dotknięty tym, że mu nie ufa. Czy teraz, kiedy sytuacja się odwróciła, on potrafił zaufać jej? Tak, zdecydował. Zaufa jej, mimo wszystko. Oby tylko się nie mylił co do tej kobiety, ponieważ, choć nie miała o tym pojęcia, w jej rękach spoczywał los jego kraju.

- Wpadka to ludzka rzecz. - Wyciągnął rękę i pogłaskał jej kurczowo splecione, lodowate dłonie.

Poderwała głowę. Oczy miała okrągłe ze zdziwienia, jakby ostatnimi rzeczami, których się po nim spodziewała, były czułość i zrozumienie.

Zrobiło mu się wstyd. Aż bał się pomyśleć, jakby ją potraktował, gdyby wcześniej przysłała do niego i powiedziała mu o ciąży.

- Tak. To było... całkowite zaskoczenie - szepnęła.

- A jednak postanowiłaś urodzić dziecko.

- Oczywiście. - Wyprostowała się z godnością, a jej oczy zaślnęły ostrzegawczo. - I nie waz się sugerować mi, bym postąpiła inaczej.

- Nie miałem nic takiego na myśli. - Wciąż głaskał jej zaciśnięte palce. - Chciałem tylko powiedzieć, że nie planowałaś tego dziecka, ale kiedy okazało się, że jest w drodze, zapragnęłaś go. Prawda?

- Prawda. - Powoli rozluźniła dłonie, pozwoliła, by splótł palce z jej palcami.

- Dlaczego nie pomyślałaś, że ja mogę poczuć to samo co ty? Nie chciałem żadnych zobowiązań, to fakt. Nie czułem się gotowy do założenia rodziny. Moje życie już raz stanęło na głowie i sądziłem, że potrzebuję paru lat spokoju, zanim podejmę tak ważną decyzję. Ale kiedy zobaczyłem twoje zdjęcie w gazecie i zrozumiałem, że nosisz nasze dziecko, poczułem, że muszę natychmiast do ciebie przyjechać. Odkąd opuściłaś Montéz, tęskniłem za tobą jak głupi. Byłem jednak zbyt dumny, by przyznać to sam przed sobą. Ale teraz duma przestała się liczyć. Jestem tu, żeby ci powiedzieć, że pragnę ciebie i naszego dziecka. Chcę cię poślubić, Cally.

Choć wiedziała, że to głupie, uszczypnęła się w udo. Jak inaczej mogłaby zyskać pewność, że nie śni właśnie wyjątkowo naiwnego, romantycznego snu? Leon Montaitler, książę Montéz, odnalazł ją w Paryżu, i poprosił o jej rękę. Kiedy wypowiadał słowa, których nigdy nie spodziewała się od niego usłyszeć, jego twarz wyrażała determinację, a głos wibrował napięciem. W jego oczach pragnienie mieszało się z niepewnością.

Cally poczuła, jak w jej piersi szczęście wybucha niczym kolorowy, niewiarygodnie piękny fajerwerk. Każde uderzenie jej serca mówiło „tak” mężczyźnie, który wciąż trzymał jej dłoń w swoich rękach.

- Nie sądzisz, że decyzja o ślubie jest trochę... zbyt nagła? - spytała ostrożnie.

- Nie. Jestem pewien, że to właściwa decyzja. - W jego głosie był żar. - I wiem, że ty też tak myślisz.

Jej oczy rozbłysły, ale na twarzy wciąż malowało się wahanie.

- Nie chciałabym, żebyśmy zrobili coś, co później uznamy za fatalny błąd.

- Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość, Cally. Nie przewidzimy wszystkich problemów, z jakimi przyjdzie nam się zmierzyć. Ale możemy sobie obiecać, że każdego dnia będziemy robić wszystko co w naszej mocy, żeby im sprostać i nie pozwolić, by cokolwiek nas rozdzieliło. Nasze dziecko urodzi się w prawdziwej rodzinie, będziemy wychowywać je razem. Jestem pewien, że nie uważasz tej decyzji za błąd.

- Nie... nie uważam. - Zatrzepotała rękami i przygryzła wargę, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz.

- A czy wobec tego... uważasz, że mogłabyś przyjąć moje oświadczenia?

Cally spojrzała w jego oczy o barwie ciepłego morza, które tak bardzo kochała.

- Tak, Leon. Uważam, że mogłabym je przyjąć.

- To dobrze - odpowiedział jej spojrzeniem pełnym radości i ulgi. - Bo już ustaliłem z biskupem, że nasz ślub odbędzie się w bazylice na Montéz w najbliższą sobotę.

Wygodnie ułożona na wielkim łożu w książęcej sypialni, wsłuchana w szum morza, którego tak bardzo jej brakowało przez ostatnie miesiące w Paryżu, Cally próbowała usnąć, ale daremnie. Gdy wczesnym popołudniem przyjechali z Leonem do pałacu, pomyślała, że po podróży drzemka dobrze zrobi jej i dziecku, jednak zbyt wiele myśli kłębiło się w jej głowie, by sen zechciał nadejść. Może gdyby był przy niej Leon, gdyby mogli porozmawiać, jej niepokój by minął. Ale od czasu ich spotkania w paryskim bistro wszystko działo się tak szybko, że na spokojną rozmowę nie mieli ani chwili. Wydarzenia ostatniej doby przesuwały jej się przed oczami, jakby oglądała je, siedząc na rozpedzonej karuzeli. Po lunchu zadzwoniła do pracowni i wzięła wolne na resztę dnia. Leon nalegał, by przesunęła wizytę u ginekologa, tak by mogli odbyć ją razem. Na szczęście wolny termin był jeszcze tego samego popołudnia. Parę godzin później wychodzili z przychodni, wzruszeni i szczęśliwi, niosąc wydruk USG, na którym widać było wyraźnie delikatny profil i kształtne ciało ich synka. Noc spędzili w mieszkanku na Île Saint-

Louis. Marie-Ange, jak co wieczór, zaprosiła Cally na herbatę i nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy młoda lokatorka przedstawiła jej swojego narzeczonego. Był nim książę Montéz! Jego Wysokość usiadł za drewnianym stołem w jej kuchni, z wdzięcznością przyjął filiżankę lipowej herbaty z miodem, a kiedy postawiła przed nim świeżo wyjęte z pieca czekoladowe ciasto, rozpromienił się jak mały chłopiec. Marie-Ange, oczarowana, życzyła młodej parze szczęścia i wręczyła Cally prezent - całą paczkę bajecznie kolorowych, dziecięcych ubranek, które od długich tygodni dziergała na szydełku.

Następnego dnia rano Cally poprosiła o rozmowę z dyrektorem muzeum. Chciała wziąć dwa tygodnie urlopu, poczynając od zaraz. Na wieść o planowanym ślubie dyrektor ucałował ją w oba policzki i kilka razy powtórzył pytanie, czy dwutygodniowy urlop na pewno wystarczy. Najwyraźniej nie wierzył, że księżna Montéz w ogóle wróci do pracy. A Cally naprawdę miała taki zamiar. Ku jej ogromnej uldze Leon nie nastawał, by rozwiązała umowę z paryskim muzeum. Zaproponował nawet, że odda do jej dyspozycji nowoczesną pracownię konserwatorską należącą do uniwersytetu Montéz, żeby mogła pracować tam, kiedy podróże do Paryża staną się dla niej zbyt uciążliwe. Potem Cally spakowała się i ruszyli w drogę. Po godzinie przedzierania się przez zakorkowane ulice Paryża i czterdziestu minutach lotu byli na Montéz. Leon zostawił Cally w towarzystwie wiernego Boyeta, przykazał jej, że ma odpoczywać, i pojechał na uniwersytet, gdzie, jak twierdził, musiał dopiąć pewne sprawy na ostatni guzik.

Cally usiadła, opierając się o poduszki. Jak mogła spokojnie odpoczywać, kiedy w jej życiu właśnie nastąpił zwrot, którego konsekwencji nawet nie potrafiła sobie wyobrazić? Wychodziła za mąż za mężczyznę, którego kochała. Ale musiała pamiętać, że był on księciem, władcą państwa. Jakim cudem ona, skromna konserwatorka malarstwa, poradzi sobie z obowiązkami księżęcej małżonki? Przeniknął ją lodowaty dreszcz tremy. Spięta, wstała z łóżka i podeszła do okna. Jeżeli nie chciała oszaleć z niepokoju, musiała się czymś zająć. Tylko czym? Nie miała tu nic do roboty. W pałacu wciąż czuła się gościem. Co prawda, spędziła tutaj ponad miesiąc, ale wtedy poruszała się właściwie tylko między swoją komnatą, pracownią, jadalnią i sypialnią księcia. Gdyby zapuściła się w nieznane korytarze, najprawdopodobniej by złądziła.

Kiedyś jednak musiała się na to odważyć. Jeśli chciała poczuć się tu jak u siebie w domu, powinna zacząć od rozejrzenia się po pałacu. Jej syn będzie się tutaj wychowywał... a pewnego dnia obejmie tron po swoim ojcu. Odruchowo rozmasowała brzuch, nakazując sobie nie wybiegać myślami tak daleko w przyszłość. Może z czasem cała sytuacja przestanie jej się wydawać tak surrealistyczna? Zamiast martwić się na zapas, lepiej robi, jeżeli zajmie się czymś konkretnym. Postanowiła, że zacznie od wybrania komnaty, która nadawałaby się na pokój dziecienny.

Sypialnia Leona nie zajmowała całej przestrzeni najwyższego piętra wschodniej wieży pałacu. Kręte schody kończyły się niewielkim podestem, z którego prowadziło dwoje drzwi. Jedne wiodły do komnaty księcia, a drugich, znajdujących się po przeciwnej stronie, Cally jeszcze nigdy nie otwierała.

Z wahaniem nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły bez trudu i jej oczom ukazało się przestronne wnętrze. Łagodne promienie słońca wpadające przez duże, wykuszowe okno, kładły się złotymi plamami na nagich ścianach. Komnata była bliźniaczo podobna do tej, w której Leon urządził sypialnię, ale zupełnie pusta. To było idealne miejsce na dziecienny pokój, z pięknym widokiem, mnóstwem słońca przez cały dzień i, co najważniejsze, tuż obok pokoju rodziców. Wystarczy tylko pomalować trochę przykurzone ściany na jakiś wesóły kolor, urządzić łazienkę, wstawić mebelki... Uśmiechnięta, rozmazana, zaczęła przechadzać się po komnacie. Na parapecie okiennym coś leżało. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że jest to sporych rozmiarów obraz oprawiony w prostą drewnianą ramę. Zaciekawiona, podniosła go i ostrożnie zdmuchnęła grubą warstwę kurzu, który osadził się na szkle. Rysunek wyobrażał schematycznie przedstawione drzewo o rozchodzących się szeroko, fantazyjnie powykręcanych gałęziach. Pod każdą z nich wyblakłe litery układały się w linijki starannego pisma. Miała przed sobą drzewo genealogiczne rodu Montaillerów. Zafascynowana, usiadła we wnęce okiennej i zaczęła przyglądać się rysunkowi. Zagadkowe zrzędzenie losu sprawiło, że jej nazwisko również miało stać się częścią tego potężnego drzewa sięgającego korzeniami jedenaście stuleci wstecz. Z zawodową skrupulatnością konserwatora zaczęła odczytywać słabo widoczny tekst, odtwarzając dzieje książęcej rodziny. Dowiedziała się, że władcy wyspy nosili ty-

tuł księcia, bo w dawnych czasach byli wasalami królów Francji. Przebiegła wzrokiem niezliczone pokolenia Montaillerów, aż wreszcie dotarła do czasów współczesnych.

Matka Leona, Odette, poślubiła Arnauda Montaillera, księcia Montéz. Jednak z gałęzi symbolizującej książęcą parę wyrastała tylko jedna latorośl - syn Girard. Cally zmarszczyła brwi, przyglądając się widniejącym obok imion datom. Siedemnaście lat po przyjściu na świat Girarda umarł książę Arnaud. Leon urodził się dopiero w następnym roku. Jego gałązka wyrastała z nieśmiałej linii łączącej Odette Montailler i mężczyznę nazwiskiem Raoul Rénard, który nie należał do książęcego rodu.

Cally nie wierzyła własnym oczom. Z rysunku wynikało jasno, że ostatnim z rodu Montaillerów był Girard. Leon był synem wdowy po księciu i jej kochanka... a jednak odziedziczył tron. Zagadkowe.

Zdezorientowana, zamknęła oczy i oparła głowę o framugę okna. Wieczorem zapyta Leona, jak to możliwe... Nagle jej myśli rozpierzchły się jak przerażone ptaki, kiedy w jej głowie rozbrzmiały słowa Torii, tak wyraźnie, jakby je słyszała.

Spodziewam się narodzin następcy tronu.

Toria musiała wiedzieć, że istniał precedens pozwalający, by syn wdowy po księciu objął władzę na wyspie. Mimo że ojcem jej dziecka nie był żaden z Montaillerów, tryumfowała. Jej syn miał realne szanse zostania następcą tronu, o ile... o ile Leon nie ożeni się i nie spłodzi potomka.

Ostatnie kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce i Cally poczuła, że robi jej się lodowato. Rozumiała teraz pełną zgrozy reakcję Leona na wieść, że Toria spodziewa się dziecka. Przeraził się, że po jego śmierci kraj dostanie się w ręce potomka tej bezdusznej, wyrachowanej kobiety. Rozumiała też, dlaczego Leon poprosił ją o rękę. Była w ciąży, więc wystarczyło, by uczynił z niej swoją żonę, a ich dziecko automatycznie nabywało większych praw do tronu wyspy niż syn Torii.

Z dreszczem odrazy przypomniała sobie, jak Leon nalegał, żeby poszli razem na badanie USG. Była tym głęboko wzruszona, bo w swojej bezbrzeżnej naiwności myślała, że troszczy się o nią i o maleństwo. A on po prostu nie zamierzał kupować kota w worku. Dopiero kiedy miał dowód, że dziecko jest zdrowym chłopcem, zabrał Cally na Montéz. Musiała mu przyznać, że potrafił działać szybko. Ich ślub przewidziany był na najbliższą

sobotę. Najwyraźniej książe nie zamierzał ryzykować, że narzeczona się rozmyśli lub że odkryje prawdę. Ciekawe, jaki los przewidział dla niej, kiedy urodzi mu już upragnionego syna? Zamierzał rozwieść się z nią i odebrać jej dziecko czy łaskawie pozwolić, by została w pałacu, jak jeszcze jeden niepotrzebny mebel?

Cally objęła brzuch ramionami i zaniosła się gorzkim, rozpaczliwym płaczem.

Gdzieś nieopodal trzasnęły drzwi. Ktoś przebiegł przez korytarz. Usłyszała szybkie kroki i w następnej chwili znalazła się w objęciach Leona.

- Cally? Co się stało? - Uniósł ją i ruszył z powrotem do sypialni. - Czy coś cię boli? - pytał gorączkowo. - Musisz się położyć. Nie możemy narażać dziecka...

- Uspokój się - powiedziała, tłumiąc szloch. - Twój syn jest bezpieczny. A mną nie musisz się przejmować.

- Jeśli nie poczułaś się źle, to o co chodzi? - Postawił ją na ziemi. - Wytłumacz mi, Cally, dlaczego płaczesz. Mam chyba prawo wiedzieć...

- Masz prawo wiedzieć?! - krzyknęła histerycznie, wczepiając się paznokciami w klapy jego marynarki. - Skoro tak, to ja też miałam prawo wiedzieć, jaki jest prawdziwy powód twoich oświadczeń! Nie mogłeś znieść myśli, że syn Torii jest pierwszy w kolejce do tronu, prawda?

Leon zamarł na chwilę, a potem gniewnie zmarszczył brwi.

- Toria znowu tu przyszła siał zamęt? - warknął.

- Nie. Wyobraź sobie, że twoja biedna mała narzeczona sama się wszystkiego domyśliła. Wystarczyło, że znalazłam to. - Machnęła ręką w stronę rysunku leżącego na parapecie okna.

Jeden rzut oka wystarczył, by Leon domyślił się, o czym mówiła. Dobrze pamiętał ten obrazek. To była jedyna pamiątka, jaką zachował z czasów, gdy jako mały chłopiec zajmował ten pokój. Drzewo genealogiczne narysowała dla niego mama, kiedy postanowiła powiedzieć mu prawdę o jego pochodzeniu. Pamiętał, jak mu tłumaczyła, że należy do tego drzewa, choć jest synem niebieskiego ptaka, który tylko na chwilę przysiadł w jego cieniu.

- To nie tak, najdroższa - powiedział cicho. Kiedy otoczył ją ramionami, zeszywniała, ale nie wyrwała mu się. - Pozwolisz, że opowiem ci pewną rodzinną historię?

Skinęła głową, a on wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni. Nie protestowała, kiedy posadził ją sobie na kolanach i zaczął kołysać jak dziecko.

- Moja matka bardzo młodo wyszła za mąż za księcia Arnauda - zaczął. - Małżeństwo zostało odgórnie zaaranżowane i nie było w nim namiętności, lecz mimo to mama urodziła księciu syna i pozostała mu wierna aż do śmierci. Bardzo go szanowała. Niedługo po pogrzebie Arnauda, podczas wyjątkowo potężnej nawałnicy, samotny żeglarz zawinął do zatoki za pałacem. Jego łódź wymagała naprawy, a on sam był zbyt wyczerpany, by dopłynąć do portu. Następnego ranka księżna znalazła go tam, śpiącego na skałach. Ona nie miała jeszcze czterdziestu lat, a nieznajomy był podobno piękny jak sam Neptun. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia szaloną, namiętną miłością. Spotykali się po kryjomu, zaledwie przez parę dni. Odpływając, żeglarz obiecał, że wróci do księżnej, gdy tylko zakończy swój rejs dookoła świata, a ona przyrzekła, że będzie na niego czekała. Kiedy się żegnali, żadne z nich nie wiedziało, że powołali do życia dziecko, ani też, że nie będzie im dane spotkać się ponownie. Mój ojciec zginął na morzu w wyniku wybuchu silnika łodzi. Kiedy Odette dowiedziała się o śmierci kochanka, dostała bólów porodowych, półtora miesiąca przed terminem. Urodziłem się na tyle wcześnie, że oficjalnie uznano mnie za syna Arnauda. Zaufany doradca mojej matki, który jako jedy-ny znał prawdę, przekonał ją, że najlepiej będzie trzymać się tej wersji. Miałem dwanaście lat, kiedy mama postanowiła wyznać mi prawdę. Wtedy właśnie narysowała dla mnie to drzewo. Dowiedziałem się, że moim prawdziwym ojcem był Raoul Rénard, potomek sławnego malarza.

Zasłuchana w jego opowieść, Cally zapomniała o całym świecie. A więc Leon był praprawnukiem Jacques'a Rénarda, twórcy *Miłości ku morzu*! Teraz rozumiała, dlaczego gotów był wydać tak ogromne pieniądze, żeby kupić ten obraz. I musiała przyznać, że nikt nie miał większego prawa niż on, żeby go posiadać na własność.

- Z drzewa genealogicznego wyciągnęłaś słuszne wnioski - mówił dalej Leon. - Choć rządę wyspą i noszę nazwisko Montailler, w moich żyłach nie płynie ani jedna kropla książęcej krwi. Co zresztą od dawna nie jest tajemnicą. Zanim wstąpiłem na tron, ogłosiłem prawdę o moim pochodzeniu i poddałem pod głosowanie demokratycznie wybranej rady księstwa Montéz kwestię dziedziczenia przeze mnie tytułu. Rada postanowiła

udzielić mi kredytu zaufania i uznać za prawowitego następcę przyrodniego brata, Girarda.

- A Toria postanowiła wykorzystać ten precedens... - wpadła mu w słowo Cally.

- Nie wiem, czy naprawdę planowała osadzić swoje dziecko na tronie Montéz, powołując się na precedens, czy też po prostu chciała mnie nastraszyć. Co jej się zresztą udało... Ale teraz to wszystko jest już nieważne.

- Jak to nieważne? - Cally zmarszczyła brwi. - Toria ma przecież syna, więc żenisz się ze mną, żeby twoje dziecko, a nie jej, odziedziczyło książęcy tytuł.

- Nieprawda. Nawet gdybym nigdy w życiu się nie ożenił i zmarł bezpotomnie, syn Torii nie zostałby księciem Montéz. Parę godzin temu ten chłopiec nieodwołalnie stracił prawo do tronu. - Leon wyciągnął z kieszeni złożoną na pół kartkę wyrwaną z gazety. - Sama zresztą zobacz.

Cally powoli rozłożyła papier. Na fotografii zajmującej prawie całą stronę Toria uśmiechała się promiennie, odziana w niezwykle efektowną, lśniącą białą suknię panny młodej. Jej świeżo poślubiony czarnoskóry małżonek wpatrywał się w nią jak w obraz. Para trzymała na rękach niemowlę. Krótki tekst obwieszczał, że wdowa po Girardzie, księciu Montéz, zdecydowała się zalegalizować swój związek z zawodowym piłkarzem, obywatelem Włoch.

- W chwili, kiedy ojciec chłopca wstąpił w związek małżeński z Torią i dał dziecku swoje nazwisko, straciło ono wszelkie prawa do tronu. Zresztą chłopiec ma włoskie obywatelstwo, tak jak jego wysportowany tata. - Leon wyjął kartkę z nieruchomych palców Cally i nieuważnie odłożył ją na bok. Patrzyła, jak papier spada na podłogę. - Ale dosyć już o tym. Szukałem cię, bo najwyższy czas pojechać do kościoła i dać na zapowiedzi. - Spojrzał na zegarek. - Ubierz się jak przystało na narzeczoną księcia, ponieważ za pół godziny mamy spotkanie z biskupem.

Cally przygryzła wargę.

- Z tego, co rozumiem - powiedziała powoli - już nie musisz się ze mną żenić.

- Ale pragnę tego, *chérie*. - Ujął jej dłoń i złożył na niej czuły, pełen szacunku pocałunek. - Tak długo byłem ślepy, wmawiałem sobie, że łączy nas tylko fizyczne pożądanie. A przecież to nieprawda. Kocham cię. Potrzebuję twojej bliskości i czułości, dłu-

gich rozmów z tobą co wieczór. Chcę móc patrzeć na ciebie, kiedy pracujesz, skupiona i pełna twórczej energii. Chcę trzymać cię za rękę, kiedy będziesz rodzić dziecko. I chcę spojrzeć w oczy naszego synka, kiedy tylko przyjdzie na świat.

Westchnęła głęboko. Jego słowa kołysły jej skołatane, udreżone niepewnością serce.

- Ja też cię kocham, Leon - powiedziała cicho. - Zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia, ale uprzedzenia nie pozwalały mi się przyznać nawet przed sobą, co naprawdę czuję. Długo nie chciałam zauważyć, jakim jesteś człowiekiem. Miałam cię za zadufanego w sobie egoistę, któremu nie można ufać. A przecież jest zupełnie inaczej. Całe swoje życie poświęciłeś służbie krajowi. Zrobiłeś to, bo uznałeś, że tak należy postąpić. Mógłbyś otaczać się luksusem, a żyjesz w tym pałacu niemalże jak pustelnik, w towarzystwie Boyeta i czterech osób służby. Nie wydajesz ani grosza na zbytki, nie gustujesz w wyszukanych rozrywkach. Wszystkie fundusze i całą energię inwestujesz w rozwój kraju, który szczerze kochasz. Podziwiam cię za to.

Leon skrzywił się, jakby mu było niezręcznie słuchać pochwał.

- Nie mam samych zalet - uciął. - Z przerażeniem myślę, że mogłem zmarnować szansę, jaką dostałem od losu, kiedy spotkałem ciebie. W jakiś sposób jestem nawet wdzięczny Torii za jej matactwa, bo one skłoniły mnie do oświadczeń, ale kiedy tylko powiedziałaś mi „tak”, poczułem się szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Zrozumiałem, że małżeństwo z tobą jest tym, czego szczerze pragnę.

Pocałowała go w usta. Jej hiacyntowe oczy jaśniały radością.

- Więc na co czekamy, Wasza Wysokość? Chodźmy dać na zapowiedzi.

EPILOG

W sobotnie południe dźwięk dzwonów z wieży bazyliki rozniósł po całej wyspie radosną wieść. Leon, książe Montéz, poślubił swoją ukochaną. Ci spośród poddanych, którym udało się dostać na plac przed kościołem, mówili potem, że panna młoda wyglądała pięknie i wzruszająco w sukni o uroczym, staroświeckim kroju ozdobionej angielskim haftem, i z bukietem hiacyntów w dłoniach. Książe, posągowy w swoim oficjalnym, paradnym stroju, nie odrywał od niej zachwyconego spojrzenia. Świadkiem pana młodego był jego dawny przyjaciel, Kalik, szejk Qwashiru, a pannie młodej towarzyszyła jej siostra. Orszak nowożeńców zamykali rozbrykani siostrzeńcy panny młodej, których wreszcie musiano oddać pod opiekę Boyeta, bo podczas ceremonii usiłowali gwizdnąć biskupowi pastorał.

Po ceremonii przyszła pora na weselisko. Krewni państwa młodych i zaproszeni goście mieli się bawić na pałacowym dziedzińcu w promieniach zachodzącego słońca, a potem, pod gwiazdami, w blasku setek lampionów. Mieszkańcy Montéz świętowali na ulicach miasta. Na każdym placu grała muzyka, wino z książęcych piwnic lalo się strumieniami, a ludzie tańczyli i wznosili toasty na cześć młodej pary.

- Cally, chciałbym ci coś pokazać - odezwał się Leon, kiedy, odprowadzani entuzjastycznymi okrzykami rozbawionego tłumu, wrócili do pałacu, żeby odpocząć chwilę przed weselem.

- Teraz? - zdumiała się.

- Tak, właśnie teraz, jeżeli masz siłę.

Gdy skinęła głową, wziął ją za rękę. Niezauważeni przez nikogo, wymknęli się z pałacu tylnym wejściem i wsiedli do samochodu. Cally, coraz bardziej zdziwiona, zorientowała się, że jadą w stronę nowego kampusu uniwersyteckiego. Wreszcie zaparkowali przed nowoczesnym kamiennym budynkiem, który wznosił się na tle morza niczym biały żagiel.

- Gdzie jesteśmy?

- Ten gmach to nowe muzeum malarstwa. Robotnicy skończyli ostatnie prace dopiero wczoraj. Zanim otworzę je dla publiczności, chciałem, żebyśmy przyszli tu tylko

we dwoje. - Leon ruszył przodem, otwierając drzwi przed żoną. - Mam nadzieję, że spodoba ci się to, co zobaczysz, bo chciałbym, żebyś to uznała za skromny prezent ślubny ode mnie.

Zaintrygowana, ruszyła za mężem. Przeszli przez elegancki hol oświetlony wysokimi oknami i znaleźli się w dużej sali, urządzonej z ascetyczną elegancją. Ściana naprzeciwko wejścia została niemal w całości przeszklona, tak że wewnątrz zdawało się otwierać na bezkresne morze. Pośrodku niej umieszczono panel z kamienia o tej samej barwie co skały na wybrzeżu. Na jego tle, oświetlony punktowym reflektorem, wisiał dyptyk Rénarda.

Cally aż westchnęła z zachwytu. Nie potrafiłaby sobie wyobrazić lepszej oprawy dla swojego ukochanego obrazu.

- Mówiłeś, że chcesz go zatrzymać dla siebie... - W jej hiacyntowych oczach było niedowierzanie. I całe morze radości.

- Bo taki miałem zamiar. Bardzo chciałem mieć w pałacu coś, co wiązałoby się z moim ojcem. Ale ty zmieniłaś mój sposób myślenia. Kiedy zobaczyłem, z jakim oddaniem pracujesz nad renowacją, zrozumiałem, że nie mogę ukrywać tego arcydzieła przed ludźmi. Przy tobie staję się lepszym człowiekiem, moja ty czarodziejko.

Wyciągnął do niej rękę, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję.

Kobieta na obrazie nie odwróciła wzroku, kiedy zatonęli w głębokim, miłosnym pocałunku.

